

**ANNA PONIATOWSKA**

**GORZKI SMAK DOJRZEWANIA**

**NAŁĘCZÓW 2010**

© Copyright by Anna Poniatońska

Koncepcja edytorska i redakcja:

*Anna Poniatońska*

Korekta:

*Wiesława Dobrowolska-Łuszczynska*

Konsultacja:

*Władysław Poniatoński*

ISBN: 978-83-928721-8-4

Na okładce: *Władysław Poniatoński przed kapliczką św. Michała Archaniola w Alei Lipowej w Nałęczowie, 1943*

Zdjęcia i dokumenty z archiwum rodzinnego Władysława Poniatońskiego

Projekt okładki:

Drukarnia „Pewnik”, ul. Gdańska 7, 24-100 Puławy

Skład i łamanie tekstu:

*Teresa Poniatońska*

Drukarnia „Pewnik” ul. Gdańska 7, 24-100 Puławy

*Tereni, córce Władka*



## SPOTKANIE HISTORIA

**W** Wojciechowie, niezwykle urokliwej wsi, położonej wśród uprawnych pól i łąk, dominującą rolę w pejzażu odgrywa Wieża Ariańska. Nazwa ta przyłgnęła do wieży w szesnastym wieku, po zorganizowaniu tu przez duchownego Marcina Krowickiego zboru kalwińskiego, na który zjechali się, potocznie nazywani innowiercami, arianie. Okalający ją wał i wieża łącząca w sobie ziemne fortyfikacje z wieżą mieszkalną była siedzibą rycerską. Obecnie mieści się tu prężnie działający Gminny Ośrodek Kultury w Wojciechowie, który wspólnie z Klubem Seniora organizuje przeróżne, ciekawe, barwne i historyczne imprezy.

Na tradycyjne, coroczne spotkanie poświęcone odzyskaniu przez Polskę niepodległości, które odbyło się 28 listopada 2006 roku, oprócz władz gminnych, samorządowych, nauczycieli i młodzieży szkolnej zaproszono również kombatanów.

W mgliste popołudnie zasiadłam sama, reprezentując także zaproszonego na spotkanie męża, Władysława Poniatowskiego, w sali konferencyjnej mieszczącej się w wieży. Wsłuchałam się w słowo wstępne, które z przejęciem wygłosiła Zuzanna Kowalska, przytaczając najważniejsze wydarzenia z okresu I wojny światowej, dzięki którym Polska odzyskała niepodległość. Zasadniczym jednak tematem na „Spotkaniu z historią” były wydarzenia w czasie okupacji niemieckiej na terenie gminy Wojciechów.

Spośród omawianych siedmiu tragicznych zdarzeń, które pochłonęły ofiary ludzkie, najmocniej przeżyłam wystąpienie Heleny Wójcik ze Szczuczek, która była świadkiem masowego mordu we wsi, położonej w części południowo–zachodniej gminy Wojciechów.

W niedzielę pierwszego października 1939 roku, w kilkanaście dni po zajęciu przez wojska hitlerowskie Lublina

i okolic, niewielka wieś Szczuczki stała się miejscem potwornej zbrodni dokonanej przez okupanta na niewinnej ludności cywilnej. Rzekomym powodem tego okrucieństwa było oskarżenie skierowane pod adresem mieszkańców o przechowywanie broni. Prawdziwy powód nie jest znany do dziś. Według różnych źródeł zginęło wówczas około stu mężczyzn. Na tablicy pamiątkowej w pobliskiej szkole podstawowej widnieje siedemdziesiąt jeden nazwisk pomordowanych, ale nie wszystkich udało się zapisać, bowiem zginęli też tacy, którzy przypadkowo znaleźli się w Szczuczkach lub po prostu nie mieli przy sobie dokumentów.

Następnego dnia po tragedii, rankiem, przyjechało do wsi kilku Niemców. Przywieźli benzynę, polali nią zburzony budynek szkolny, leżące w nim ciała i zabitych wokół szkoły, podpalili, a po spaleniu odjechali.

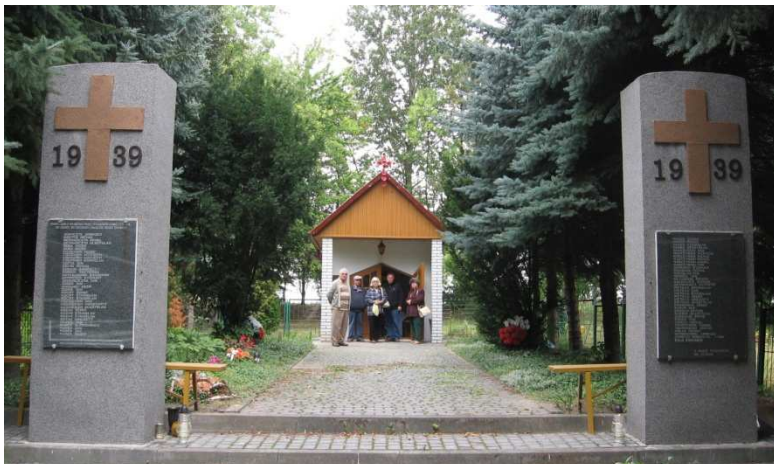
Potem kobiety wraz z osieroconymi dziećmi powoli zgarnęły popioły, pozbierały wszystkie kosteczki i szczątki ubrań. Przysypały to lekko ziemią i przykryły blachami, którymi była nakryta szkoła. Nastąpiła zima. Ludzie z przyległych wsi na wiosnę przywieźli ziemię i usypali mogiły. A cegły, które zostały po podmurówce szkoły, zostały zebrane. Powstała z nich kapliczka.

Jak zwykle, mąż po powrocie z podróży do domu, zapytał mnie:

– Aniu, jak tam było na spotkaniu w Wojciechowie?

– Smutno – odrzekłam. Posłuchaj, na terenie twojej gminy w czasie okupacji było aż siedem tragicznych zdarzeń. Żyją jeszcze świadkowie mordów i zabójstw, jakich dokonali tu Niemcy.

– Wiesz, niewiele brakowało, a zginąłbym przypadkiem tak jak oni – odrzekł mąż.



*Współczesny widok kapliczki w Szczuczkach. Przed świątynią  
kolumny z nazwiskami pomordowanych, 2007*



*Władysław Poniatowski z córką Teresą  
przed drzwiami do kaplicy w Szczuczkach, 2007*

## DWAJ PRZYJACIELE...

Ciepley, słoneczny dzień pierwszego października 1939 roku był zachętą dla dwóch trzynastolatków do realizacji swoich skrywanych od dawna marzeń. Szkoła w Wojciechowie z powodu wybuchu drugiej wojny światowej była zamknięta i wakacje automatycznie przedłużyły się o cały miesiąc. Wieczorem chłopcy: Władek Poniatowski i Czesiek Marek z Kolonii Pierwszej w Wojciechowie dłużej baraszkowali, biegając po okolicznych pagórkach, a raniem nikt ich nie budził, aby przed szkołą zdążyli napaść każdy swoją krowę tak, jak to było w zwyczaju od trzech lat. Życie na wsi toczyło się spokojnie, zgodnie z rytmem przyrody, o wojnie wiele się nie mówiło.

Władek i Czesiek mieszkali obok siebie w zielonym gaju, na dwóch pagórkach położonych przy długim wąwozie. Dołem, środkiem rozłożystych zielonych łąk płynęła wartko rzeka Bystra, zasilana u brzegu przez cztery bijące źródła. Tu właśnie przy stoku, do którego ich rodzice przychodzili z wiadrami po czystą wodę do picia, często snuli marzenia o wielkim świecie.

W zakolach Bystrej odbywały się ich „tajne” kąpiele i „oficjalne” wypadki nad rzekę z babką lub matką. Zgodnie z tradycją odbywało się wówczas wielkie rodzinne pranie bielizny. Najpierw gospodarze z tzw. „dębiny” przygotowywali pomost na brzegu rzeki (każdy naprzeciwko swojego siedliska), a następnie ich kobiety przynosiły tobołki z bielizną do prania.

Towarzyszyły im dzieci, które rwały się do prania kijanką. Nad rzeką i łąkami rozlegało się wtedy jednocześnie echo odgłosów różnorodnych kijanek, świergotu ptaków i radosnego szczebiotu okolicznych dzieci. Psozni chłopcy, ku uciesze swoich ojców, wzniewali czasem ogólną wesołość, spychając z deski do wody którąś z upatrzonych wcześniej kobiet.



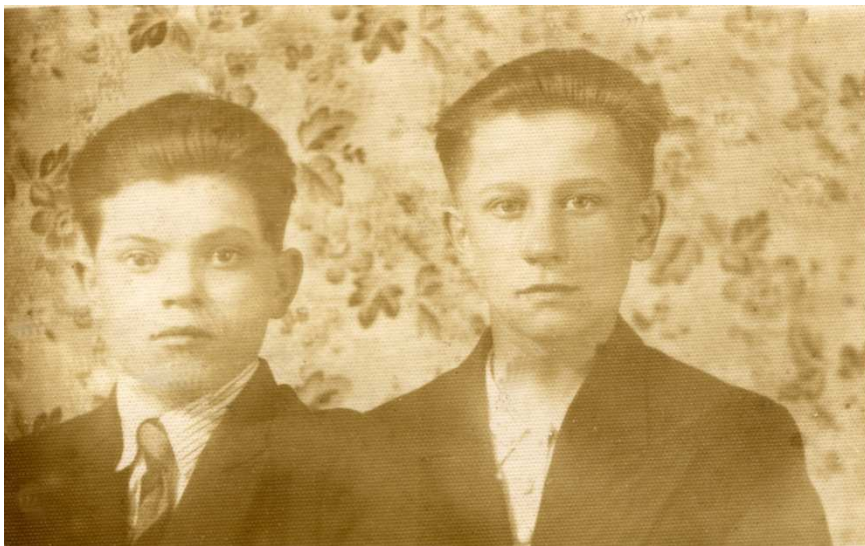
Łowy kielbi dniem i podchody o zmierzchu na raki ściągaly nastolatków do Bystrej w czerwcu, lipcu i sierpniu. Płynąca bystro woda w rzece była w tych miesiącach ciepłutka i kryształowo czysta. Później, kiedy dni stawały się krótsze i chłodniejsze Władek biegał rankiem na sprawdzanie stanu gołębi do Czeška, bowiem obydwaj pragnęli powiększyć ich ilość i poszerzyć odmienność ras. Dwa sąsiadujące ze sobą wzgórza pokryte były licznymi ścieżkami, wydeptanymi ich bosymi stopami.

Do czteroklasowej szkoły powszechnej w Starym Gaju, podobnie jak wszystkie inne dzieci z okolicy, chodzili także na bosaka. Wczesnym rankiem, po przyprowadzeniu krowy z pastwiska, zjadali najczęściej takie samo regionalne śniadanie: czerwony barszcz, zabielały dużą ilością śmietany z ziemniakami. Następnie matka jedna i druga dawała do ręki każdemu z nich lniany worek z książkami i wysyłała do szkoły. Władek biegnąc miedzą z góry wiedział, że w dębinie czeka już na niego przyjaciel.

Szli ścieżką, mijając trzy źródła, zwane na wsi stokami. Dalej rozpościerały się przed nimi zielone łąki, na których rosły maki, kaczeńce, jaskry, bławatki... W głębi tuż przy rzece pojawiał się zawsze wiosną tatarak, stroiło się nim chałupę na Zielone Święta. Po drodze chłopcy mijali staw Gawdzika i czasami zbyt długo obserwowali pływające w nim dorodne karpie. Mijali potem szybko leszczyny dziko rosnące, aby zdążyć na czas do odległej szkoły. Przechodzili jeszcze obok dębów i lip, na których siedziały i odzywały się dzikie gołębie – grzywacze i synogarlice. A wokół rozciągał się las, w którym można było usłyszeć dzikie ptactwo, jak i zobaczyć sarny, lisy, zające i bażanty.

W szkole lekcje odbywały się w klasach łączonych, tzn. pierwsza i druga klasa prowadzona była przez jednego nauczyciela w tym samym pomieszczeniu. Trzecia i czwarta klasa podobnie. Kierownik szkoły Jan Matraszek znał dobrze wszystkie dzieci i ich rodziców.

Czesiek i Władek siedzieli w jednej ławce na lekcjach, a po nauce razem wracali tą samą drogą do domu. Idąc, pragnienie swoje gasili czystą, źródlaną wodą w pierwszym, drugim lub trzecim stoku.



*Nierozłączni przyjaciele – Władysław Poniatowski i Czesław Marek*

Edukacja chłopców połączona z domowymi obowiązkami trwała od poniedziałku do soboty. Na ogół w niedzielę ojcowie przejmowali opiekę nad karmieniem krowy, a chłopcy w towarzystwie matek często chodzili na msze święte do parafialnego kościoła pw. św. Teodora w Wojciechowie. Po Mszy świętej każdy ze swoją matką odwiedzał bliższą lub dalszą rodzinę.

## KORZENIE

**M**atka po niedzielnej modlitwie często zabierała Władka do sąsiedniej wsi, gdzie mieszkały jej ciotki. Dziadek Władka, Piotr Kocot pochodził ze Szczuczek, ale żenił się aż trzykrotnie w Maszkach. Jego pierwsza żona umierając, zostawiła dwóch synów: Władysława i Adama, którzy chodzili do szkół i pomagali pisać listy urzędowe dla mieszkańców wsi. Druga jego żona osierociła syna Pawła, który jako młody człowiek wyjechał do Francji i słuch po nim zaginął. Trzeci raz ożenił się mając pięćdziesiąt lat, w 1904 roku, z panną Barbarą Pazur, też z Maszek.

Nr. porządkowy	Imiona i nazwiska		Imiona Rodziców	Kiedy urodzona			Miejsce urodzenia	Stan	Wyznanie	Pochodzenie	Zatrudnienie	UWAGA
	MĘŻCZYZN	KOBIET		Data	Miesiąc	Rok						
2		Barbara Pazur z Pazurów	Piotr Kocot z Kocotów	15	październik	1879	wieś Maszki	małżeństwo	Rzymsko-Katolickie	Województwo Lubelskie	gospodarstwo domowe	
		Rysunek jej	wzrost ok. 160 cm ciężar ciała ok. 50 kg	srodkni	oczy niebieskie	włosy ciemne						

Zgodność niniejszego z księgą ludności stałej stwierdza z nadmienieniem, że wykazany .....  
zapisany ..... do ksiąg ludności przed 1915 r. w gminie tutejszej ..... mieszka w .....

**Wójt gminy Wojciechów**  
*Stachyra*  
**WOJCIECH STACHYRA**  
 pow. Lubelski

**Sekretarz gminy**  
**Pisarz gminy**  
*Anton*  
**ANTONI ZĄBCZYŃSKI**

402.20002.1/111.20. Druko. Państwowe w Lublinie.

Wyciąg z Ksiąg ludności stałej wsi Maszki, 1932

Podczas parcelacji majątku ziemskiego w Wojciechowie dziadek kupił osiem morgów ziemi i przeniósł się z młodą żoną do Gaju, dokładnie w miejsce, gdzie kończy się Gaj Stary, a zaczyna Gaj Nowy. Był zaradny i zdrowy, wybudował drewniany dom i budynki gospodarcze blisko źródłanego potoku. Miał tu jeszcze czworo dzieci: Józefę, Jana, Pawła i Michalinę.

Życie rodzinne Piotra i Barbary Kocot koncentrowało się w największej izbie. Przez jej środek, pod sufitem, przebiegała gruba belka. To na niej gromadziły się przynoszone nie wiadomo skąd przez dziadka Piotra książki. Poczesne i stałe miejsce na belce miała także ponad osiemsetstronicowa kantyczka *Pastorałki i kolędy na Boże Narodzenie*, która służyła do wspólnego śpiewania kolęd od Wigilii do Matki Boskiej Gromnicznej, czyli do drugiego lutego.

Wieczorami, po obrządku, przy kubku ciepłego mleka „prosto od krowy”, z pajdą własnoręcznie upieczonego chleba, starsze dzieci wraz z sąsiednimi: najczęściej z Natalką i Bronką od „Greków” wsłuchiwały się w czytane przez dziadka różne dawne opowieści. Po wieczerzy odprowadzano słuchaczy i gaszono lampę naftową. Czytane na głos fragmenty książek były zapamiętywane przez dorastającą młodzież a następnie przekazywane własnym dzieciom.

Wiele lat później po książki te sięgał często syn Józefy – Władysław. Czytał je szczególnie po narodzinach Marysi, młodszej o dziesięć lat siostry. Wówczas uwaga dorosłych skoncentrowała się na małej i Władek miał większą swobodę. Dziesięciolatka zafascynowała *Wyprawa Andréego balonem do biegun* H. Lachambre’a i A. Machuron’a i nieco później powieść historyczna *Władysław Łokietek* Franciszka Wężyka.

Ojciec Władka urozmaicał życie rodzinne śpiewem żołnierskich pieśni patriotycznych. Szczególnie często śpiewał, swoim donośnym głosem hymn francuski – *Marsylianę* „... na bój, na bój, hej ludu zbrój się zbrój...”.

Franciszek Poniatowski pochodził z Sadurek koło Nałęczowa. Jako młody żołnierz brał czynny udział w wyzwolenczej wojnie z bolszewikami.

Na froncie pod Berezyną na Białorusi został ranny, a po wyleczeniu skierowano go do oddziałów generała Hallera.



*Franciszek Poniatowski w mundurze  
żołnierza II Rzeczypospolitej*

Gdy rodzice Władka wybudowali drewniany dom, przenieśli się z dziećmi do trzyizbowej nowej chaty. Tam także przeniosła się tradycja zasiadania o zmierzchu do wspólnego stołu. Wieczorami, przy lampie naftowej, z zaciekawieniem czytało się głośno *Quo vadis* i trylogię Henryka Sienkiewicza, *Ballady* Adama Mickiewicza...

Po latach natomiast Marysia nie rozstawała się z książką *Podróż Polki do Persyi* napisaną przez Maryę Ratuld-Rakowską.

## SĄSIEDZI

**N**owe warunki bytowe umożliwiły także rodzicom Władka inne organizowanie świąt. Wytworzył się nowy zwyczaj wspólnego obchodzenia Wigilii. Najbliżsi sąsiedzi rodziców Władka: Markowie, Baranowie, Józwiccy i Twardowscy po kolei przygotowywali dla wszystkich pięciu rodzin wspólną wieczerzę wigilijną połączoną ze śpiewaniem kolęd.

Sporadycznie, ale już w mniejszym gronie, dzielono się święconym jajkiem. Na wielkanocnym świątecznym spotkaniu w 1939 roku dorośli wraz z dziećmi podziwiali gołębie Cześka. Była więc okazja, aby chłopcy, czyli Czesiek z Władkiem, ujawnili swoje dawno skrywane marzenie o posiadaniu nowych ras gołębi.

Wymogli wówczas na rodzicach zgodę na odwiedzinę wspólnej ciotki w Szczuczkach, u której znany był w całej okolicy gołębnik. Rodzice nastolatków po dłuższej naradzie zgodzili się na ich samodzielną wyprawę, ale postawili warunek: chłopcy mogą pójść, ale dopiero jesienią.

Inicjatorem eskapady był właściciel gołębi, Czesiek, który dobrze znał siostrę swojego ojca Bronisławę Kocot z domu Marek, a która była jednocześnie kuzynką Władka.

Całe wakacje Czesiek z Władkiem cieszyli się na tę pierwszą samodzielną wycieczkę.

Wrzesień był ciepły i pogodny, w związku z tym rodzice jedni i drudzy zgodzili się wreszcie dać chłopcom wolne w niedzielę, 1 października 1939 roku. Ojcowie: Jan Marek i Franciszek Poniatowski, dokładnie wytłumaczyli synom, jak dojechać do Szczuczek i trafić do ciotki.

## KASZKIET Z JARMARKU

**D**umni trzynastoletni chłopcy, wolni od opieki dorosłych, na bosaka, w długich spodniach i kaszkietach na głowie wyruszyli w piękny niedzielny poranek do ciotki w Szczuczkach. Szli ochoczo, rozprawiając wesoło, pełni nadziei na miłe spotkanie z krewną i jej rodziną, która na pewno podaruje im nową rasę gołębi.

Minęli Halinówkę i po pięciu kilometrach marszu, zbliżyli się do skrzyżowania drogi Łubki – Niezabitów i Szczuczki – Bełżyce. Zauważyli tam dwóch żołnierzy w zielonych mundurach i hełmach na głowie z karabinami w rękę. Szli dalej ufni i zadowoleni, że oto na własne oczy widzą po raz pierwszy w życiu prawdziwych żołnierzy:

– Będzie co opowiadać w domu – rzekł Władek.

Mijając zakręt usłyszeli jednak język niemiecki, co ich jeszcze bardziej zaciekawiło, ale nie zmartwiło. Spokojnie minęli Niemców, ale rozejrzeli się w terenie. Przed nimi, na polach, rozpościerały się niebieskie łany łubinu. Dojrzywała już gryka. Niektórzy rozpoczęli wykopki ziemniaków. Było spokojnie.

Po następnych dwóch kilometrach doszli do Szczuczek i oczom ich ukazała się po prawej stronie drogi nowa, jeszcze nie do końca wykończona, drewniana szkoła. Zgodnie z informacją ojców, zaraz po przeciwnej stronie, na pagórku, miał być dom ciotki. Zauważyli go, przeszli przez kładkę i ruszyli pod górkę.

Zapachniało już na dworze domowym obiadem. Widocznie zjedzą to samo, co jedzą w niedzielę we własnym domu – pomyśleli jednocześnie. Wytarli starannie bosc stopy o trawę, zgodnie z życzeniem matki zapukali do drzwi, może zbyt głośno, bo zaraz w progu pojawił się przystojny młodzieniec, a znad komina z okapem ich wspólna ciotka wydała radosny okrzyk zdziwienia.

Po wymianie krótkich, wzajemnych rodzinnych informacji ciocia Bronisława wspólnie z dziewięcioletnią córką Ireną,

zaczęła przygotowywać stół do jada. Podawała to, co chłopcy przewidywali: kapustę z grochem i pierogi z serem ze śmietaną.

W tym czasie ich elegancki, najstarszy syn Józef, jeszcze kawaler, dokładnie i długo czyścił pastą swoje czarne półbuty. Ustawił je równo pod ławą i zadowolony z efektu umył ręce a następnie zaczął wkładać na siebie białą koszulę.

Ciocia zaczęła zapraszać niespodziewanych gości i domowników do dużego stołu, na którym parowały świeże potrawy. Siadając do obiadu wszyscy nagle zamarli. Za oknem słychać było pojedyncze strzały z karabinów.

Po pewnej chwili cichą rozmowę domowników przerwała kanonada z karabinów maszynowych i wybuchy granatów. Słychać było ostry świst kul i widać przez okno sypiącą się strzechę chaty.

Spontanicznie, wszyscy poza ciotką, pokładli się na podłogę pod piecem. Kanonada trwała około pół godziny, a potem wszystko ucichło. Nastąpiła złowroga cisza. Mężczyźni oraz przestraszeni chłopcy powoli zaczęli podnosić się i otrząpywać odzienie.

Spojrzeni przez okno, za oknem zobaczyli jednego żołnierza w mundurze niemieckim. Za chwilę na podwórku znalazła się ich cała grupa. Niespodziewanie otworzyły się drzwi i w progu stanęło kilku Niemców w mundurach, uzbrojonych identycznie jak ci na skrzyżowaniu, z tą tylko różnicą, że jeszcze w rękę trzymali krótką broń.

Chłopcy uporczywie przyglądali się pistoletom, aż dotarło do nich głośne:

– Raus, raus !

Niemcy wypraszali z domu kolejno: najpierw gospodarza Stanisława Kocota, potem jego syna Józefa ( młodszy synowie Stefan i Wacław byli poza domem ), a następnie Władka i z kolei Cześka. Ciotce i Irenie nie wydawali żadnego polecenia.

Na dworze Niemcy pokazali im ręką palące się nieopodal budynki folwarku w Szczuczkach. Wszyscy czterej zrozumieli, że Niemcy proszą o pomoc przy gaszeniu pożaru. Tak też myśleli



inni chłopci przy opuszczaniu swoich domów w Szczuczku. Ufni i chętni sprawnie ruszyli całą gromadą do pomocy.

Władek także początkowo z ciekawością schodził z górki. Obserwował zajście i zastanawiał go tylko coraz ostrzejszy ton Niemców. Postanowił, że dojdą do palącego się folwarku i po ugaszeniu pożaru udadzą się w kierunku Wojciechowa, mimo że są głodni, bo bez obiadu. Za nim ociagał się nieco Czesiek.

Dochodząc do drogi Władek zauważył, że Niemcy, którzy szli za nimi skierowali się do sąsiedniej chaty. Już miał przechodzić na drugą stronę drogi, aby połączyć się z innymi chłopami w większą grupę, gdy Czesiek z tyłu zawołał:

– Władek, ja muszę się wrócić, bo zapomniałem kaszkiet!

– Nie żartuj Czesiek, twoja czapka nic nie znaczy – odkrzyknął Władek.

– Znaczy, znaczy! Ojciec kupił mi ją w ostatnią środę na jarmarku w Wąwolnicy – prawie z płaczem powiedział Czesiek.

Dochodząc do drogi, ku niezadowoleniu idących chłopów, zaczęli się przekomarzać: czy iść dalej z innymi tak jak chciał jeden, czy wrócić tak jak chciał drugi.

Wreszcie Czesiek stanął na skraju drogi, rozejrzał się i zdecydował:

– Ty jak chcesz, to idź, ale ja się wracam po kaszkiet!

Czesiek jeszcze raz spojrzął uważnie, poczekał aż eskortujący chłopów Niemcy wejdą do innej chaty, odwrócił się i pobiegł między krzakami pod górkę do ciotki.

Władek przystanął, burzył się wewnątrz, ale nie wszedł na drogę, przez którą mieli przechodzić razem. Zrobił rozeznanie i zauważył, że chłopci wbrew pozorom nie byli kierowani do folwarku, ale do szkoły. Niektórzy już do niej prawie się zbliżali.

– Pewnie będą pokazywać jak gasić ogień – pomyślał.

Powinien dołączyć do grupy mężczyzn przechodzących przez jezdnię, ale nieoczekiwanie odwrócił się na pięcie i pobiegł jednak za Cześkiem. Dogonił go i chwilę później razem weszli do ciotki po kaszkiet. Zastali ją lamentującą przy oknie. Zaskoczeni podeszli bliżej, a wówczas rozpaczająca głośno ciotka rzekła:

– Chłopcy, to zasadzka!

Spojrzeni przez okno, zobaczyli, że Niemcy brutalnie wypychają chłopów do szkoły. Zgarniają mężczyzn ze wszystkich stron wsi. W tłumie zganianych mężczyzn: starszych, dorosłych i młodzieży wypatrywali wujka Stanisława Kocota i jego przystojnego syna Józefa, którego przed chwilą zostawili na drodze. Rozdzierający krzyk ciotki uświadomił im, że jest niebezpiecznie.

Chłopcy dopadli jeszcze bliżej okna i przestraszyli się obydwoj, że teraz Niemcy wrócą po nich, bo nie byli pewni, czy nikt ich nie zauważył, jak wracali do ciotki.

Ciocia spojrzała z lękiem na chłopców, szybko zorientowała się, o czym myślą i zdecydowanie rzekła:

– Chłopaki, za stodołą jest wysoki łubin, uciekajcie stąd! Najpierw czołgajcie się w łubinie, a potem za pagórkiem już nikt was nie zauważy.

– Uda wam się – dodała po chwili, widząc w ich oczach lęk i przerażenie.

Czesiek rozejrzał się po izbie, chwycił swoją nową czapkę leżącą na ławie i obydwoj cichutko wyszli do sieni. Tam nasunęli kaszkiety głęboko na czoło i przemknęli przez podwórze do stodoły.

## UCIECZKA

**Z**a stodołą minęli kierat i padli w wysoki, niebiesko kwitnący łubin. Odpoczywając krótką chwilę nad słuchiwali, czy nikt ich nie ściga. Usłyszeli od strony szkoły tylko odgłosy przybijanych młotkiem gwoździ.

Po chwili zaczęli się czołgać w kierunku wskazanym przez ciotkę. Przeprowa była ciężka, bo łubin był wysoki i gęsty. Za pagórkem, po około trzydziestu metrach czołgania, usiedli i powoli wychylili głowy znad niebieskich kwiatów łubinu. Widać było tylko pola i strzechy wiejskich chałup. Ciszę przerywały od czasu do czasu tylko przestraszone, bo wypłoszone przez nich stada kuropatw. Wstali pośpiesznie i szybkim krokiem rozgarniając rękami dorodny łubin udali się w kierunku widocznej na horyzoncie Góry Chmielniczej.

W połowie drogi do wsi nagle przestraszył ich potężny huk armaty. Po kilku minutach nastąpiły jeszcze dwa wystrzały armatnie. Przyspieszyli kroku, weszli teraz na kartoflisko. Oglądając się z niepokojem, zaczęli biec, aż dotarli do osiedla zamieszkałego przez rolników. Wystraszeni, zmęczeni i brudni chłopcy zobaczyli tam dużo ludzi na polnych drogach. Pomyśleli: – Czyżby zaniepokojeni odgłosem strzałów ze Szczuczek wszyscy mieszkańcy Góry Chmielniczej, wyszli z domów? Ludzie próbowali nawiązać z chłopcami rozmowę, ale było to dla obu stron zbyt trudne. Władek i Czesiek pytali tylko o drogę do domu, sami nie wiedzieli, co tam się stało, bali się. Wreszcie udało im się wyrwać z tego zgiełku.

Do domu rodzinnego dotarli o zachodzie słońca głodni, bez gołębi, ale w kaszkietach na głowie. Przed domem Władka czekali na nich obydwaj zatrwożeni odgłosami strzelaniny ojcowie. Rodzice odetchnęli z ulgą, że chłopcy wrócili cali i zdrowi.

## DZIELNA CIOTKA BRONKA

**R**ankiem, drugiego października, w pogodny poniedziałek wyruszyli całą rodziną do kopania kartofli swoim białym konikiem zaprzęgniętym do drewnianego wozu o żelaznych kołach. Większość rolników w Kolonii Pierwszej była już na polu. Władek rozejrzał się sennie po okolicy, nie widział jeszcze swoich sąsiadów, a więc i Czeška.

Wtem od strony Szczuczek ukazał się na horyzoncie olbrzymi słup dymu. Ze wszystkich stron zaczęli schodzić się sąsiedzi. Praca nie szła, jeden przez drugiego komentował zdarzenie. Nieoczekiwanie wszyscy zamilkli i zaczęli patrzeć w przeciwną stronę. Uwaga zebranych na polu rodzin skoncentrowała się teraz na „poprzeczce”. Od Nowego Gaju, nieco niżej od stojących, pełną drogą, idącą w poprzek zagonów jechał samotnie, powoli, wóz z jednym koniem. Gdy zbliżył się nieco zauważono, że powozi nim skulona, ale czujnie rozglądająca się kobieta. Skręcając na drogę do Jana Marka (ojca Czeška) zauważono na furmance, leżącego na poduszkach człowieka.

Dochodziła dziesiąta. Małe ilości wykopanych rankiem ziemniaków wrzucono szybko na wóz, w pośpiechu załadowano na wierzch koszyki i motyki, wrócono do domu. Ojciec Władka rozprzągł konia i za chwilę całą trójką poszli ścieżką do sąsiadów. Zastali tam zmartwionych gospodarzy, krzątających się koło ciężko rannego wujka Stanisława Kocota ze Szczuczek. Szlochająca głośno ciotka Bronka na ich widok zawołała:

– Dzięki Bogu, chłopcy uniknęli śmierci!

Przygarnęła Czeška i Władka do siebie, rozpaczliwie płakała, że jej Józek nie żyje, a mąż jest ciężko ranny. Mimo że dotarła tu resztkami sił zaczęła opowiadać dramatyczny przebieg wydarzeń.

## ŚWIADKOWIE

**W** niedzielę rano, do wsi przyjechało konno kilku żołnierzy niemieckich. Sołtysowi wsi, Stanisławowi Czepińskiemu, wydali rozkaz, żeby mężczyźni uprzątnęli klepiska w stodołach i nie opuszczali swoich domów. Sołtys rozpoczął przekazywanie informacji, chodząc od domu do domu. W tym czasie, ktoś rozpałił ognisko koło dworku w Szczuczkach i wrzucił do niego znalezione kule. Ich wybuch sprowokował Niemców do odwetu. Najpierw padł jeden strzał z karabinu, a potem z trzech stron wsi jednocześnie zaczęto strzelać z broni maszynowej i dział. Dwór stanął w płomieniach.

Niemcy wyprowadzili właściciela dworu, Heliodora Niecingiewicza, z domostwa państwa Witków i prowadzili go początkowo w stronę szkoły, ale potem zmienili zdanie i skierowali go do płonących zabudowań dworu. Od jednocześnie dwóch strzałów z karabinów właściciel posiadłości padł martwy na zaoranym własnym polu.

Żołnierze początkowo doprowadzali chłopów wyprowadzanych z własnych domów ze wschodniej części wsi do palących się zabudowań. Tam dokonali egzekucji (nad dołem do przechowywania ziemniaków) na kilku mężczyznach. Po pewnym czasie Niemcy zaprzestali strzelaniny nad dołem, resztę zebranych mężczyzn poprowadzili przez pole do szkoły.

W tym czasie inna grupa Niemców wypędzała wszystkich chłopów z pozostałych domów wsi, między innymi was – opowiadała dalej ciotka. Tak jak do nas, wpadali do każdego na podwórko i z domu zabierali wszystkich mężczyzn. Zdarzało się, że wyciągali z chaty ojca, dorosłych synów i młodych chłopców 13, 14, 15 letnich. Zgarniali też wszystkich mężczyzn, jakich spotkali na drodze, nie zwracali uwagi, czy to mieszkaniec wsi, czy gość, który się tam znalazł przypadkiem, czy też człowiek, który po prostu tamtędy

przechodził. Wszyscy szli bez protestu, bo myśleli, że idą do ratowania palącego się dworu.

– Zaraz po waszej ucieczce, widziałam przez okno, że Niemcy zgromadzili przed szkołą liczną grupę chłopów, może z siedemdziesięciu, a może więcej – opowiadała dalej ciotka.

Wszyscy na rozkaz w pewnym momencie położyli się twarzą do ziemi, a Niemcy brutalnie zaczęli im ściągać obuwie z nóg. Na głośną komendę chłopci boso wstali i popychani przez Niemców szli w kierunku nowo wybudowanej, drewnianej szkoły.

Ci, którzy stawiali opór i nie chcieli wejść do szkoły byli brutalnie kopani i bici kolbami. Gdy wepchano siłą do szkoły wszystkich mężczyzn Niemcy rozpoczęli zabijanie okien i drzwi deskami. Rozlegały się teraz i mieszały ze sobą przerażone, wołające o litość głosy męskie z odgłosem skrzypiących desek i wbijanych w nie gwoździ. Po przybiciu ostatniej deski i sprawdzeniu wszystkich otworów Niemcy odeszli od szkoły i zaczęli ustawiać działa. Z odległości około 250 metrów oddano trzykrotny ogień w kierunku szkoły i zamkniętych tam mężczyzn. Całością zdarzenia kierował Niemiec poruszający się na siwym koniu.

Po krótkiej przerwie i zmianie opatrunków zaczął opowiadać wujek Władka i Czeška – Stanisław Kocot:

– Jak ucichło, widziałem przez szparę, że Niemcy się oddalają i wymierzają w nas działa armatnie. Strzelano trzy razy. Po pierwszym strzale zawaliła się część ściany, która mnie przygniotła – mówił. Upadłem, inni na mnie i przywaliła nas drewniana belka. Po następnych dwóch armatnich strzałach upadło na mnie wielu mężczyzn, jedni już nieżywi, a inni jęczeli z bólu. Józek także jęczał, ale żył. Po pewnym czasie weszło do zawalonej częściowo szkoły kilku Niemców z krótką bronią. Kolejno dobijali leżących rannych. Na moich oczach Niemiec strzelił do żyjącego mojego rannego syna. Mnie nie zauważyli, bo leżałem pod innymi nieżyjącymi i pod belką.

Po dobieciu rannych Niemcy opuścili szkołę, a następnie Szczuczki. Wówczas do szkoły przybiegły rozpaczające kobiety: żony i matki z dziećmi. Mimo rozpachy, łez, szoku i strachu każda z nich nawoływała oraz szukała swoich. Widok porozrywanych i porozrzucanych ciał był straszny, płynęły strumienie krwi i słychać było jęki konających. Początkowo na wołania nikt nie odpowiadał, ale po chwili spod leżących odezwał się cichy i słaby głos, a po przeciwnej stronie, drugi. Kobiety wspólnie odciągały zwłoki, mocowały się ze zwałoną na rannego belką i wyciągnęły na pół żywego człowieka. W zakrwawionym, ale przytomnym rannym ciotka rozpoznała swojego męża. Przeżył tragedię chyba jeszcze Michał Mirosław.

Ciotka z sąsiadkami wyniosły rannego, z trudem doprowadziły go do własnej zagrody i ukryły w stodole pod słomą. Był ranny w głowę i miał urwaną dłoń. W nocy ciotka zaprzęgnęła konia i okrężnymi drogami jechała do lekarza. Na krótko znalazła schronienie i pomoc u Marianny Bakalarz w Kolonii Poniatowa, która mieszkała wraz z mężem za lasem w bezpiecznym miejscu.

Do lekarza w Bełżycach dotarła dopiero wczesnym rankiem. Po obmyciu ran i założeniu opatrunku ruszyła z lękiem do rodziców Cześka. Większość kobiet po odgrzebaniu zmarłych postanowiła szukać schronienia wraz z dziećmi w sąsiednich miejscowościach. Postanowiły uciekać, bowiem sądziły, że przyjdą Niemcy, wszystkich wybiją i spalą całą wieś.

Chłopcy z przerażeniem wypadli na podwórko, patrzyli na sięgający nieba dym, byli przekonani, że oto pali się cała wieś tak, jak mówiła ciotka. Z niepokojem patrzyli w kierunku Szczuczek, nie do końca zdając sobie sprawę z dramatu ludzkiego i cudownego swojego ocalenia.

– Szkoda, że nie poszliśmy do cici tydzień wcześniej – rzekł Władek.

– Miałbym gołębie – odpowiedział smutno Czesiek.

## BIAŁA CHATA

**G**dy Władek uczęszczał do ostatniej, czyli czwartej klasy szkoły powszechnej w Starym Gaju rodzice jego urządzali własne siedlisko na wzgórzu, tuż obok działki babki Barbary w wojciechowskiej Kolonii Pierwszej. Rodzice sami zniwelowali nierówności terenu i w wyznaczonym przez matkę miejscu, na najwyższym wzniesieniu położonym wśród jarów oraz kwiecistych łąk, powoli powstawały zręby zgrabnej drewnianej chaty.

Marzeniem ojca była zagroda, składająca się – podobnie jak u innych gospodarzy w okolicy – z chaty oraz stodoły i obory. W budowę zaangażowani byli wszyscy członkowie rodziny. Ojciec, jadąc do własnego lasu po podstawowy materiał budowlany, zabierał często Władka ze sobą. Matka w tym czasie doglądała gospodarstwa. Po powrocie z lasu odbywały się wspólne debaty nad realizacją projektu i dalszym rozwojem własnego siedliska. Nie wspomniano na razie o studni, bowiem w stoku, w bijącym tuż przy łące źródleku, kryształowo czystej wody było pod dostatkiem.



*Zagroda rodzinna Władysława Poniatowskiego*



Władek miał dużo nauki w szkole i wiele obowiązków w gospodarstwie. Po lekcjach nieomal biegiem przemierzał trzy kilometry z Gaju Starego na nowe siedlisko w Kolonii Pierwszej, aby w domu nic nie uszło jego uwagi. O zmierzchu tradycyjnie zasiadał u babki do skromnego posiłku wraz z młodszym rodzeństwem matki: Janem, Michaliną i Pawłem. Później ojciec na krótko zapalał lampę naftową, aby chłopiec mógł odrobić lekcje na jutro. Często zmęczony nad nimi zasypiał.

Zrywał się rano, aby przed wyjściem do szkoły popatrzeć na budowę chaty: na podmurówkę kładziono przyciesie a na nie bale drewniane, które na każdej z czterech krawędzi chałupy wyglądały tak jakby spięte były węglami. Na zrębach chaty utwierdzono dość wysokie krokwie, aż przyszedł czas na krycie dachu, do którego przygotowywano się dużo wcześniej.

Całą zimę ojciec Władka młócił cepem dorodne i suche snopy żyta z przeznaczeniem na strzechę. Wspólnie wiązano słomę przygotowanymi powrósełkami. Te snopki z całej długości słomy tzw. szczesoki matka podawała Władkowi, który stał na drabinie i przekazywał ojcu układającemu strzechę na krokwi.

Po zasadniczym pokryciu dachu, słomianymi gajdokami (snopeczkami z pozostałej słomy) wykończono rogi, kalenice i okap. Zewnętrzne bale drewnianej chaty, jak i ściany wewnętrzne w izbie, matka Władka wybieliła wapnem przy użyciu własnego pędzla z prośnianki, czyli ze słomy z prosa. Chałupa prezentowała się okazale na tle zielonych pól i innych chat w okolicy także wymalowanych na biało.

Chroniąc chatę przed wiatrem i deszczem ojciec Władka dodatkowo przywiązał strzechę do drewnianych łąt, które były przybite do krokwi i dopilnował, aby próg do sieni swą wysokością zabezpieczał przed wpływem wody deszczowej.

Z sieni, która latem zamieniała się w letnią kuchnię, wchodziło się do komory i do obszernej izby mieszkalnej.

Komorę przeznaczono na spiżarnię. Z niej też prowadziło niezamykane wejście na strych.

„Na górze” obok ogromnych słomianych beczek na zboże, kołowrotka, motowidła i niecki wykrojono Władkowi przy wschodnim oknie maleńki kącik na książki. Do tej minibiblioteczki Władek natychmiast przeniósł wszystkie książki odziedziczone po nieżyjącym dziadku Piotrze, a także dołożył własne: *Geografja* Michała Siwka, *Liturgika* ks. dra Mieczysława Dybowskiego, *Zbiór powinszowań na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok oraz Poezje do imiennika* i inne.

Drugimi drzwiami z sieni wchodziło się do izby mieszkalnej. Po lewej stronie, przy drzwiach, wymurowano tzw. komin, czyli kuchnię, piec do ogrzewania i piec chlebowy. Otwór do pieca chlebowego umieszczono nad płytą kuchenną tak, aby rozżarzone węgle wygarnięte z pieca wpadały wprost pod płytę kuchenną. Całe palenisko i półokrągłe sklepienie zrobiono z białego kamienia przywiezionego z Kowali.

W oczy wszystkich sąsiadów rzucały się trzy duże okna, podzielone na sześć mniejszych okienek, a obszernej izbie mieszkalnej uroku dodawała piękna, drewniana, dwucalowa podłoga. Ojciec wstawił wykonane u miejscowego stolarza Gawlika drewniane meble: dwa łóżka, kanapę, stół, dwa taborki, stołek i ławę w kształcie litery „L”, która była dopasowana do pieca grzewczego i kuchni. Emocje związane z przeprowadzką trwały krótko. Domownicy poczuli się szczęśliwi, że wreszcie są na swoim.

Drewniana kanapa Władka, podobnie z resztą jak łóżka rodziców, miała „szufladę”, którą na noc wysuwano, by poszerzyć powierzchnię do spania. Ten zewnętrzny bok po wysunięciu, wyłożony był luźno słomą żytnią, na której leżała płachta lniana, a na niej prostokątna poduszka i pierzyna.

W ciągu dnia po zsunięciu szuflad robiło się w izbie przestronnie. Rankiem pierzyny składano, przykrywano kapami i łóżka dekorowano poduszkami, na które kładziono jeszcze jasieczek. Natomiast kanapa, stojąca między wschodnim oknem

a dużym drewnianym stołem, służyła do siedzenia przy posiłkach i przy odrabianiu lekcji.

Dorabiający się rodzice pragnęli mieć jeszcze własną zagrodę, a do tego brakowało im obory i stodoły. Z oszczędności po zmierzchu gasili „dmuchając” lampę naftową i nawet nie zauważali zwiększonego zainteresowania dziecka nauką. Przeciwnie, zawsze wieczorem przy kolacji, na którą syn jadł kromkę chleba upieczonego własnoręcznie przez matkę, z ciepłym mlekiem prosto od krowy, przypominali Władkowi o porannej powinności w gospodarstwie.

Najczęściej przed pójściem do szkoły Władek zobowiązany był nakarmić zwierzęta lub wypędzić krowę, dopilnować, aby się najadła i nie zrobiła szkody w polu. Natomiast po lekcjach pędził razem z Cześkiem najpierw na swój pagórek, a potem na jego, sprawdzić, co nowego w jednym i drugim gospodarstwie przybyło. Targowali się przy tym, kto więcej w tym dniu ma do zrobienia. Roboty nigdy nie brakowało, dobrze że nigdy nie byli głodni, ponieważ babcia u siebie na przypiecku zawsze miała dla nich gorący barszcz albo groch z kapustą.

*Władysław Poniatowski  
w czasie nauki szkolnej*



## LEPSZY ŚWIAT

O bowiązków przybywało. Ojciec zakupił w miejscowej kopalni na Łysej Górze kamień – siwak na oborę. Trzeba było pomagać także przy zwożeniu i cięciu drzewa na stodołę. A tu kierownik szkoły Jan Matraszek, wspaniały nauczyciel, pokazał swoim uczniom „lepsy świat”.

Dzieci zasłuchane w jego przeróżne ciekawe opowieści dziwiły się, że gdzieś daleko jest inne życie, można słuchać muzyki, są różnorodne zapachy, wspaniałe smaki... Wierzyły, ale mimo to niektóre z nich nie miały odwagi poprobować przyniesionej do szkoły przez Pana, podzielonej na równe części, pomarańczy. Wstydziły się, mówiły, że tego nie lubią. Tak samo było z przyniesioną innym razem chałwą.

Pan Matraszek zapraszał do degustacji tylko chętnych. Władek, mimo że należał do odważnych, nie od razu podnosił rękę, przepuszczał starszych, wyczekiwał, ale zawsze się załapał na smakowity kęs.

O niedalekim Nałęczowie, jako miejscu, w którym żyli sławni pisarze, kierownik wspominał często.

Władek znał dobrze wydeptaną ścieżkę przez łąki i wąwozy leśne, aż na targowisko w uzdrowisku. Biegał czasem za matką, która szła na skrót do Nałęczowa i niosła w koszyku osetkę masła, ser czy śmietanę. Na ogół sprzedawała szybko swoje znane z wysokiej jakości produkty i pośpiesznie wracali oboje z powrotem na swoje gospodarstwo. Ale żeby tam był park zdrojowy, a do tego żeby żyli tam ci, co piszą książki, nie, tego nie wiedział i jakoś nie umiał sobie tego wyobrazić.

W czerwcu 1935 roku, na zakończenie drugiej klasy szkoły powszechnej, pan kierownik zabrał chętnych uczniów na pieszą wycieczkę do Nałęczowa. Wyruszyli wczesnym rankiem spod swojej czteroklasowej szkoły w Gaju Starym.

Dzieci szły na bosaka, wypatrując radośnie rzeczy sobie nowe. Pan Matraszek, sam urzeczony oazą zieleni wśród wzgórz oraz wąwozów wojciechowskiego lasu, idąc dodawał dzieciom otuchy, opowiadał, że kto raz zobaczy staw, wyspę, stare parkowe drzewa, będzie za nimi tęsknił i tam wracał.

Nieoczekiwanie zaszli pod parkową bramę.

– Czyżby park był zamykany? – zdziwiły się szczerze dzieci.

– Tak, jest kilka wejściowych bram, wstęp kosztuje złotówkę, ale płacą tylko dorośli! – oznajmił nauczyciel.

Za bramą dzieci zobaczyły po raz pierwszy w życiu, że dorośli siedzieli i odpoczywali na wybranych przez siebie ławeczkach. Wszyscy byli jacyś zamyśleni, wpatrzeni w dywanowe, kolorowe klomby. Alejkami szły inne dzieci pod czujnym okiem swoich rodziców.

Wśród szumiących liści starych drzew i śpiewu ptaków połyskiwał staw, na którym pływały łódki. Słońce przebłyskując przez bujną zieleń drzew otulało całą parkową przestrzeń.

Dzieci z Wojciechowa ze swoim przewodnikiem szły alejkami dalej i oczom ich ukazał się położony w centrum parku, pełen prostoty, pomnik Stefana Żeromskiego.

Na Władka spojrzała znajoma twarz z fotografii, którą demonstrował w szkole organizator wycieczki. Na cokole z czerwonego granitu widniała pociągła twarz i uważne oczy pisarza.

I kto by przypuszczał, że oto stojące przed pomnikiem jasnowłose, bose pacholę z Wojciechowa, zauroczone szlachetnością wyrazu twarzy Stefana Żeromskiego za czterdzieści pięć lat, jako dyrektor jednej z największych szkół spółdzielczych w Polsce z siedzibą w Nałęczowie odda hołd innemu wybitnemu Polakowi, Zygmuntowi Chmielewskiemu, nadając szkole w Wąwozach jego imię.

Kierownik szkoły tą wycieczką zakończył pracę nauczycielską w Gaju Starym i wyjechał. Spełnił przed wyjazdem od dawna rozbudzone, ale skrzętnie skrywane marzenia swoich uczniów. Nic specjalnie już się później w szkole powszechnej nie działo. Edukacja Władka w czteroklasowej szkole w Gaju Starym spokojnie dobiegała końca.



*Pomnik Stefana  
Żeromskiego  
w Nałęczowie*

Wszyscy sąsiedzi w Kolonii Pierwszej uważali, że Władek zdobył największe w okolicy wykształcenie! Cztery klasy!

Ojciec jednak był przekonany, że do pracy w gminie – o której marzył dla syna – to trochę za mało. Nic się jednak w tym zakresie nie planowało i pracowite życie całkowicie zagłuszało rozterki edukacyjne rozwijającego się szybko dziecka.

Po wprowadzeniu się do nowej chaty ojciec na jarmarku w Wąwolnicy kupił drewnianą kolebkę. Matka wyłożyła ją tradycyjnie słomą owsianą, poduszczką i pierzynką. Niebawem urodziła się siostra Marysia.



*Marysia, 1945*

## WOJCIECHOWSKIE RÓWNINY

**W** końcu sierpnia 1938 roku Władek sam zapisał się do klasy piątej, siedmioklasowej szkoły powszechnej w Wojciechowie. Rodzice mimo ciężkich warunków bytowania nie sprzeciwiali się temu. Zmienił się jednak całkowicie kierunek i obraz jego wędrówek w kolejnych latach kształcenia. Dawniej do czteroklasowej szkoły w Starym Gaju, na zachód od miejsca zamieszkania chodził trzy kilometry dziennie, teraz do siedmioklasowej szkoły powszechnej w Wojciechowie na wschód od rodzinnego domu, miał cztery kilometry.

Dotychczasowe wąwozy, pagórki zalesione leszczynami, nadrzecznymi wierzbami, dębami czy przydomowymi lipami zamieniły się w rozległe pola, ciągnące się daleko, niemal bez horyzontu. Pejzaż wojciechowskich równin Władek odkrywał powoli.

Letnim rankiem, trzymając kajety za pazuchą lub w kieszeni, przemierzał drogi i miedze w kierunku wschodzącego słońca. W Wojciechowie nie było tradycji sadzenia drzew. Na całym czterokilometrowym odcinku nie można było posiedzieć pod drzewem, odpocząć w cieniu liści, nasłuchać się śpiewu ptaków. Czereśnie czy jabłonie rosły tylko u niektórych gospodarzy. Ta czereśnia, za stodołą Tarkowskiego, na której czerwieniły się owoce, a którą mijał wiosną dwa razy dziennie, nie mogła mu wyjść z pamięci ani w szkole, ani w domu.

Zimową porą, gdy począł sypać biały śnieg, okładał zeszyty cienkimi deseczkami, przewiązywał sznurkiem i „tekę” zarzucał na plecy. Po lekcjach wracał zmęczony, głodny, przystawał i patrzył w bezkresną przestrzeń, wypatrując własnej chaty oraz zachodzącego słońca. Kiedy równina bielila się jedną wielką pokrywą śnieżną, przeciwstawiał się hulającym na niej wschodnio–zachodnim wiatrom. Nigdy nie wiedział, czy to właściwa droga, czy zasiana ozimina.



Gubił wówczas znane sobie ścieżki i szedł za napotkanymi z rzadka, okutanymi dla ochrony przed mrozem ludzkimi postaciami.

Rozległa wojciechowska wieś skupiała dzieci z okolicy i po lekcjach wszyscy uczniowie szli w innym kierunku. Władek szedł do Kolonii Pierwszej, Marysia Grzegorzczuk zmierzała do Starego Gaju, Wójcik na Kolonię Piątą...

Okres późnej jesieni i wczesnej wiosny był dla Władka szczególnie trudny do przetrwania. Bose nogi nie natrafiały na przydrożną miedzę i topiły się w kałużach oraz błocie. Gospodarze bowiem orali ziemię bardzo skrupulatnie, nie zostawiając żadnej przydrożnej skiby, na której mogłyby rosnąć bodaj chwasty i wskazywać kierunek drogi.

Czuł się jednak w miarę bezpiecznie, bowiem napotykanne z rzadka osoby odpowiadały zawsze na jego pozdrowienia, byli to najczęściej bliźsi lub dalsi sąsiedzi. Znał ich nazwiska, w domu wymieniał przydomki spotkanych osób i rodzice wiedzieli, z kim szedł albo z kim rozmawiał. Lubił się chwalić, gdy „Roch” lub „Grecek”, jadąc z jarmarku w Bełżycach, podwieźli go kawałek furmanką.

Bywało, że wracał, a matka przędła, zdziwiona, że czas tak szybko zleciał. Obiecywała za chwilę skończyć robotę, rozpalić pod kominem, nastawić strawę. Gdy zasiadali do gorącego jadła, zapalano już lampę naftową.

Mimo upału lub zimna, deszczu czy błota, zawiei i zamieci Władek przez trzy lata, od poniedziałku do soboty, chodził codziennie do swojej szkoły.

Najpierw szedł samotnie płaskimi, monotonnymi polami, następnie zmierzał ku Wieży Ariańskiej, mijał kościół pod wezwaniem św. Teodora, aż dochodził do małego budynku szkolnego, czyli do remizy strażackiej na drugim końcu wojciechowskiej wsi. Szkoła funkcjonowała ze znacznie ograniczonym programem nauczania. Z rozkazu władz okupacyjnych zabroniono nauki historii i geografii.

Zasadniczym źródłem wiedzy był „Ster”, miesięcznik rozprowadzany w szkole odpłatnie.

Nauka odbywała się w klasach łączonych na dwie zmiany. Zimą uczono się w salach mało ogrzewanych. Władek nie mógł kontynuować nauczania na tajnych „kompletach”, prowadzonych przez miejscowych nauczycieli. Kierownik szkoły, pan Feliks Kowalski, zachęcał go do nauki i czasami „Stera” przydzielał za darmo.



*W gronie wojciechowskich rówieśników*

Położenie wsi poza głównym traktem gwarantowało na razie jego mieszkańcom całkowite bezpieczeństwo. Bombardowania omijały Wojciechów, wierzone, że wojna skończy się niebawem. Dramaty wojenne wydawały się dalekie i odległe. Jednak ostatni rok rozpoczął się od przygnębiającej wiadomości.

Uczniowie i nauczyciele byli wstrząśnięci strasznym mordem oraz masakrą Żydów w Wojciechowie. O niczym innym przez cały wrzesień się nie mówiło. Niemcy wyłapali w czasie wakacji ze Starego Gaju i okolic rodziny żydowskich rzemieślników. W malutkim areszcie o wymiarach 4 x 3 m, zamknięto siedemnaście osób, nie wyłączając kobiet z dziećmi i starców.

Po kilku dniach odsunięto sztaby, otworzono drzwi, głodnych wypędzono i rozstrzelano. Hitlerowcy na oczach innych dobijali rannych, a po masakrze kazali miejscowej ludności żydowskiej zakopać zamordowanych we wspólnym dole. Po tym zdarzeniu i przeżyciu nieszczęścia w Szczuczku, wielką bojaźnią napawał Władka widok niemieckiego wojska, szwargot niemieckiej mowy, warkot samochodów czy samolotów.

Z ulgą ukończył szkołę w niespokojnym Wojciechowie i dnia 30 czerwca 1941 roku otrzymał niemiecko-polskie świadectwo ukończenia Szkoły Powszechnej.

Do podjęcia nauki w szkole średniej zachęcał go ksiądz Dudkowski, który organizował spotkania dla młodzieży z tajnych „kompletów”.

Raz na umówione zejście młodzieży w domu parafialnym dołączył zaproszony Władek. Onieśmielony przysłuchiwał się rozmowom nieco starszych, pewnych siebie kolegów. Prowokowany do wypowiedzi nie wiedział, jakie zająć stanowisko. Nie był pewny, czy rodzice w ogóle pozwolą mu na dalszą naukę. Po latach okazało się, że nie tylko zdał maturę, ale podjął także studia podobnie jak nieliczni z Wojciechowa: Marian Kwiatkowski, Jerzy Kątski, Genowefa Ostrowska, Henryk Stachyra i Helena Palak.

# GENERALGOVERNEMENT

7 -klassige öffentliche polnische Volksschule Nr. \_\_\_\_\_  
 -klasowa polska publiczna szkoła powszechna

in Wojciechów Kreis Lubla  
 w \_\_\_\_\_ powiat \_\_\_\_\_

Nr. 12/41 Schuljahr 1941  
 Rok szkolny \_\_\_\_\_

## SCHUL - ENTLASSUNGSZEUGNIS ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA SZKOŁY POWSZECHNEJ

Poniatowski Władysław

geboren den 15 maja 1926 in Kolonia Wojciechów  
 urodzony dnia \_\_\_\_\_ w \_\_\_\_\_

Kreis Lubla Konfession rym - kat  
 powiat \_\_\_\_\_ wyznania \_\_\_\_\_

besuchte die 7-klassige Volksschule vom 1 września 1938  
 uczęszczał do 7-klasowej szkoły powszechnej od \_\_\_\_\_ 1938  
 bis 30 czerwca 1941 und ist mit nachstehendem Zeugnis aus der VII Klasse entlassen worden:  
 do \_\_\_\_\_ i po ukończeniu VII klasy opuścił szkołę z następującym świadectwem:

Betragen <u>sehr gut</u>	sprawowanie <u>bardzo dobry</u>
Religion <u>sehr gut</u>	religia <u>bardzo dobry</u>
Polnische Sprache <u>genuegend</u>	język polski <u>dostateczny</u>
Sprache _____	język _____
Naturkunde <u>gut</u>	nauka o przyrodzie <u>dobry</u>
Rechnen u. Raumlehre <u>gut</u>	arytmetyka z geometrią <u>dobry</u>
Zeichnen <u>genuegend</u>	rysunki <u>dostateczny</u>
Werkunterricht <u>gut</u>	zajęcia praktyczne <u>dobry</u>
Gesang <u>gut</u>	śpiew <u>dobry</u>
Leibesübungen <u>sehr gut</u>	ćwiczenia cieleśne <u>bardzo dobry</u>
Weibliche Handarbeiten _____	roboty kobiece _____

Versäumte Stunden 4 davon unentschuldig  
 Opuszczonych godzin \_\_\_\_\_ nieusprawiedliwionych \_\_\_\_\_

Bemerkungen  
 Uwagi \_\_\_\_\_

Wojciechów den 30 czerwca 1941  
 dnia \_\_\_\_\_

Jędrko Kwaśny Klassenlehrer — opiekun klasy  
Jędrko Kwaśny Schulleiter — kierownik szkoły

Urteile: sehr gut, gut, genuegend, nicht genuegend.  
 Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Niemiecko-polskie świadectwo ukończenia Szkoły Powszechnej

## PIERWSZY EGZAMIN

**T**ymczasem matka, mimo trudnych warunków materialnych, zapisała syna do nowo powstałej Prywatnej Szkoły Handlowej dr Wandy Wierzbickiej w Nałęczowie. Wydawało się jej, że Nałęczów, oaza piękna i spokoju, dobrych oraz mądrych ludzi załagodzi dotychczasowe przeżycia doznane podczas ponurej okupacji niemieckiej.

Na początku października w willi „Janina” zgromadziła się dość liczna grupa młodzieży z okolicznych gmin: Nałęczowa, Wąwolnicy, Karczmisk, Celejowa i Wojciechowa. Kandydaci do szkoły dr Wandy Wierzbickiej przystąpili do pisemnego egzaminu wstępnego.

Po sprawnym rozwiązaniu zadań rachunkowych i krótkiej przerwie rozpoczął się egzamin z języka polskiego. Profesor Janusz Wierzbicki przeczytał urywek z *Lalki* Bolesława Prusa, który należało streścić.

Większość uczniów, do których należał również Władek, nie wiedziała, o co chodzi. Po pierwsze nikt tej lalki na oczy nie widział, po drugie tekst z lalką nic nie miał wspólnego, po trzecie, co to znaczy streścić, a po czwarte, kto to jest Prus, a może chodzi o Żeromskiego?

Jednym słowem szok i zamieszanie na sali. Kandydaci na uczniów po chwili przycichli i udawali, że streszczenie piszą. Oddali jednak w większości czyste kartki.

Jakież było ich zdziwienie, gdy na drugi dzień usłyszeli, że wszyscy egzamin złożyli pozytywnie i tym samym są zapisani do wybranej szkoły.

Nauka w nowo założonej Szkole Handlowej pod okupacją niemiecką w Nałęczowie rozpoczęła się piętnastego października 1941 roku w pomieszczeniach Szkoły Powszechnej.

Placówkę założyła i prowadziła z udziałem synów, Zbigniewa i Janusza, przesiedlona restrykcyjnie z Poznania dr Wanda Wierzbicka.

Program w klasie pierwszej obejmował: religię, handel, towaroznawstwo, geografię, arytmetykę, księgowość, język niemiecki, korespondencję, scenografię, reklamę, higienę, gimnastykę i porządek.

Niestety, mimo że większość uczniów pochodziła ze środowiska wiejskiego, szkoła nie miała internatu, a czesne wynosiło czterdzieści zł miesięcznie.



*Pierwsi uczniowie i ich nauczyciele ze Szkoły Handlowej  
dr Wandy Wierzbickiej w Nałęczowie*

## DROGA PRZEZ MEKĘ

**D**o nowej nałęczowskiej szkoły, na północ od Kolonii Pierwszej, było pięć kilometrów. Lekcje rozpoczynały się o godzinie czternastej i trwały do późnej nocy. Nikt więcej z Kolonii Pierwszej i z Piątej ani z Nowego oraz Starego Gaju do szkoły średniej się nie zapisał.

Droga do Nałęczowa wiła się krętą ścieżką, wśród jarów i bagnistych łąk. Początkowo Władek szedł wzdłuż swojej posiadłości, nadkładając czasu, aby uniknąć widoku rówieśników pracujących w mozole na roli. Nawet, gdy ich mijał z daleka, to w oczach miał taki wyraz, jakby nagle wszystkie lęki okazały się uzasadnione. Wbiegał wówczas w dębinę, aby skryć swoje w powszechnym mniemaniu niepracowite życie.

W lesie otulony delikatnym szumem wiatru w gałęziach drzew czuł się wolny. Idąc wydeptaną dróżką, wsłuchiwał się w smętne pieśni ptaków, a na ich podstawie określał na ogół trafnie zmianę pogody. Głośno gruchające synogarlice zawsze zwiastowały deszcz, a kłócące się zażarcie sroki zapowiadały słońeczko.

Delektował się jednym obrazem za drugim, urodą i zapachem kwiatów na łące, zakolem rzeki Bystrej, w której hasały kielbie, pachnącą ziołami polaną. Zbliżał się do dzikich wzniesień porośniętych lasem zwanych Łysą Górą. Za nią znowu była otwarta przestrzeń, kwieciste łąki, a na ich horyzoncie „Jabłuszko” i szkoła.

Jakże inna i beznadziejna była droga powrotna. Każdy, kto by szedł sam w pochmurną noc tym szlakiem uległby przerażeniu. Na ostatnich lekcjach Władek z lękiem obserwował zachodzące za wzgórzami słońce barwiące niebo purpurą. Początkowo dwukilometrowy teren odkryty wprowadzał Władka w nastrój zaświatów. Po jakimś czasie idąc wzdłuż rzeki, którą księżyc nocą barwił ciemnym fioletem, kroczył po błocie, grudach lub skałach. Odsuwał rękami gałęzie krzaków, które stawały mu przypadkiem na drodze. Idąc po wertepach, często gubił

w ciemnościach właściwą ścieżkę. Wówczas przy najłżejszych podmuchach wiatru czuł jakby duchy lasu grabowo–dębowego oddychały i dygotały. Słysząc było westchnienia smaganego deszczem lub śniegiem wiatru.

Zasłaniał usta ręką, aby stłumić pełen przerażenia okrzyk na widok ludzkiego cienia. Na szczęście spotykał tu sporadycznie idących samotnie mężczyzn. Przystawał na szczekanie i ujadanie spuszcanych na noc psów. Wytrwale zmierzał w kierunku Samonkowego młyna, wsłuchując się w szmer rzeki, którą zwano Czerką. Dalej księżycowa poświata srebrzyła zalane wodą łąki aż do dębiny, w której mijał bijące delikatnie kryształową wodą dwa źródelka. Jeszcze tylko miał przed sobą jedno wzgórze i dochodził do własnej zagrody.



*Ostatnie wzgórze i już w domu*



## PIERWSZA GWIAZDKA

**W** domu szybko zapominał o strachu i życie wracało do normy, najczęściej do rozmów o sprawach trudnego bytowania. Władek wsłuchując się w rozmowy rodziców stawał się jakby nieobecny, myślał o szkole, o jutrzejszych spotkaniach, zadaniach, ciekawych imprezach i twórczych inicjatywach swoich nauczycieli. Tu żyło się zupełnie innym życiem, mury szkolne jak niewidzialną zasłoną oddzielały go od smutnej rzeczywistości.

Dwudziestego drugiego września 1942 roku powstał w szkole sklepik uczniowski, który zapewniał uczniom materiały piśmienne, drobną galanterię i niektóre artykuły spożywcze.

Pierwszego października 1942 roku Szkołę Handlową przeniesiono do lokalu w „Domu Ludowym”. Było łatwiej, bowiem w klasie drugiej lekcje odbywały się rano, od ósmej do czternastej. Nocą Władek wracał sporadycznie tylko wówczas, kiedy brał udział w zajęciach pozalekcyjnych.

Mimo okupacji niemieckiej i ponurych wieści o wojnie szkoła była prawdziwą przystanią dla twórczych inicjatyw młodzieży. To nie znaczy, że mroki wojny, przejawy terroru i represji hitlerowskich stosowane w regionie nałęczowskim nie utrudniały edukacji. Podczas zakupów na przerwach częstym tematem rozmów uczniowskich były łapanki i skutki bezlitosnej wojny.

Koledzy, którzy byli świadkami mordu trzynastu osób w centrum Nałęczowa dwudziestego czwartego października 1942 roku, zdawali na przerwach szczegółową relację z miejscowego dramatu. Szukano w obwieszczeniach znajomych nazwisk zakładników i osób pomordowanych. Dochodziły też głosy o śmiertelnych ofiarach w Wąwolnicy. Pomimo smutku i rozpacz rozwinęły się w szkole fascynujące formy zajęć pozalekcyjnych.

Piętnastego listopada 1942 roku zorganizowano Samorząd Szkolny, który przejawiał ożywioną działalność, organizując kółka naukowe, uroczystości szkolne, włączał się do działalności charytatywnej, prowadził konkursy, przeróżne imprezy i kronikę, odnotowując skrupulatnie wydarzenia szkolne. Władek stał się członkiem różnych sekcji, a wybierany do różnych ról w kole recytatorskim i tanecznym przejmował się tak jak wszyscy i chętnie uczył tekstu na pamięć.



*Nawet w okrutnym czasie wojny młodość jest radosna...*

Dwudziestego drugiego grudnia 1942 roku po gorączkowych przygotowaniach, przy wystrojonej choince, odbyło się uroczyste spotkanie nauczycieli i uczniów. Na pierwszej „gwiazdce”, w największej sali Ludowca, pełen napięcia Władek wziął biały kruchy opłatek i tak jak było wcześniej ustalone, podzielił się nim z dyrektorką szkoły dr Wandą Wierzbicką, a następnie w imieniu wszystkich złożył

życzenia doczekania lepszych czasów. Danka Winnicka (koleżanka z klasy) podsumowała krótko wzruszające wystąpienie Władka:

– Ładnie powiedział, ale co z tego, jak nie pocałował dyrektorki w rękę!

Za oknem zima. Śnieg miękkim, lekkim puchem ledwo przykrył ziemię a lśniące płatki śniegu okleiły gałęzie drzew. Rozpoczynają się „Jasełka”. Wchodzi św . Józef (Władek) i Matka Boska (Halina Woźniak z Bochothnicy), pukają do oberżysty i proszą o nocleg...

Zrobiło się miło, ciepło i przytulnie, choć za oknem noc. Dochodzącym chłopcom wolno było pozostać w szkole do następnego dnia. Radość była tak wielka, że młodzi zapomnieli o regulaminie szkolnym i przy flaszcze bimbru biesiadowali do białego rana. Skutki tego były oplakane.



*Od lewej stoją: Danuta Winnicka, Marian Hora,  
Jadwiga Grzegorzczak i Władysław Poniatowski*

## CIOTKA ROZALIA

**P**o krótkiej świątecznej przerwie Władek kontynuował zimową wędrówkę do Nałęczowa. Poranne lekcje i popołudniowe powroty nie napawały go już ani lękiem, ani trwogą. Wydawało się, że cichej radości Władka z pierwszego udanego występu nic nie zmąci.

Jednak niebawem koszmar wojny ponownie zakłócił spokój całej jego rodziny. W sobotę trzydziestego stycznia 1943 roku, jak zwykle w biały dzień, Władek wracał po lekcjach do domu znanym szlakiem. Cała jego uwaga koncentrowała się na nowych pomysłach przewodniczącej Samorządu, wspaniałej koleżanki, Marysi Wagnerówniej.

Minął „Jabłuszko”, łąki, Łysą Górę, most przy młynie Samonka i dalej szedł „alejką laskową”. Zbliżając się do kładki nad rzeką Czerką, usłyszał wybuch granatu. Przystanął na chwilę, wpatrując się w dębiny i jej okolice.

W zaroślach dębowego lasu, nieopodal pagórka, na którym stały zabudowania jego rodzinnego domu nagle pojawiła się chmura czarnego dymu i z każdą chwilą zwiększała swą objętość. Kierowany złym przecuciem Władek zawrócił biegiem do młyna.

Zatrwożona pani Samonkowa, właścicielka młyna, oznajmiła mu, że już wcześniej słychać było z tamtej strony rzeki Bystrej strzelaninę z karabinów maszynowych i ręcznych. To go utwierdziło w przekonaniu, że blisko jego domu dzieją się dramatyczne wydarzenia.

Zaniepokojony losem swoich najbliższych wbiegł do wąwozu i wdrapał na najwyższe wzgórze w wojciechowskim lesie. Potwierdziły się Władka przypuszczenia. Palił się dom Józefa Litwińskiego, znanego i bogatego gospodarza. Ścieżką, niedaleko jego domu, codziennie przechodził, idąc lub wracając ze szkoły. Na następnym wzniesieniu stały zabudowania rodziców.

Postanowił nie wracać do domu, mimo że zbliżał się wieczór. Miał przecież w sąsiedniej wsi rodzinę ojca. Po namyśle udał się w kierunku lasu sadurskiego do ciotki Rozalii. Kierując się intuicją, wszedł w głębokie wąwozy i wertepami, którymi nigdy wcześniej nie chodził, doszedł do skraju lasu sadurskiego. Minął drogę Wojciechów – Lublin, dalej wąwozem i polami trafił do Sadurek, rodzinnej wsi ojca, Franciszka Poniatowskiego.

O zmroku, po trudach ośmiokilometrowej leśnej drogi, brudny i głodny zapukał do okna ciotki Rozalii – siostry ojca, która wyszła za męża za Szczepana Nadzieję z Kowali. Ciotka wyskoczyła z chaty przerażona, a za nią wszyscy domownicy, jej córka Władka z mężem Józefem Górniakiem, syn Józef z żoną Michaliną z domu Kocot (siostrą Józefy – matki Władka) oraz nieżonaty jeszcze syn Mieczysław.

Po wieczerzy Władek runął na postanie i zapamiętał tylko, że dzieci ciotki Michaliny, sześciolatek Henryk i trzyletni Tadeusz w milczeniu, długo mu się przyglądali aż zmorzył go sen.

Rankiem, Władek zamiast wracać do domu, jak mu nakazywała ciotka Rozalia, z powrotem wrócił do Nałęczowa. Przypomniał sobie, że zostawił w szkole swoje nowe, pierwsze wieczne pióro, które kupił niedawno w Lublinie, podczas wspólnego wyjazdu z ojcem odwożącym Niemcom kontyngent. Mimo niepokoju o bliskich wrócił do szkoły w Nałęczowie po cenny dla niego nabytek.

Woźny zdziwiony niedzielnym „rannym ptaszkiem” chętnie otworzył szkolne drzwi. Ku uciechu obydwu pióro leżało na pozostawionym miejscu. Szczęśliwy z odnalezionej zguby, ale pełen napięcia, wracał czujnie do domu bocznymi, jak najniższej położonymi w wąwozach ścieżkami.

## MORD SĄSIADÓW

**P**o powrocie do domu matka z przerażeniem opowiedziała mu wczorajsze dramatyczne zdarzenie. Była sama, ojciec i Marysia pojechali do Wojciechowa. Gdy usłyszała strzały z karabinów maszynowych, spojrzała przez wschodnie okno. Zobaczyła, że z domu sąsiada Józefa Litwińskiego wybiegło czterech młodych mężczyzn. Czesław Litwiński (syn sąsiada) z kolegą Kazimierzem Lipcem uciekali na południe, w kierunku pól. Goniło ich dziewięciu Niemców, strzelali za nimi na zmianę, trójkami. Trzech Niemców kładło się na ziemi i strzelało, następna trójka ich wymijała. Gdy uciekający dobiegli do wiejskich zabudowań Banaszka i Miazgi w Kolonii Pierwszej strzały ucichły. Udało im się uciec.

Natomiast Stanisław Litwiński (drugi syn sąsiada) z kolegą Józefem Stachyrą wybrali zły kierunek, uciekali na zachód, gdzie rosły drzewa i był teren górzysty. Tam wpadli w zasadzkę. Niemcy, przyczajeni za rzeką Bystrą z karabinami maszynowymi, tak jakby na nich czekali. Zaczęli strzelać. Józef zginął na miejscu, Stanisław został ranny niedaleko naszego domu i podczołgał się do rosnącego w miedzy krzewu bzu. Niemcy jeszcze raz wycelowali do niego. Sądzili, że już nie żyje. Podeszli bliżej, a on wtedy usiadł. Wówczas go dobili.

Matka dłużej przy oknie nie wytrzymała, uciekła do piwnicy, zamknęła się od środka i z lękiem wsłuchiwała w kanonady z karabinów maszynowych, ciężką bieganinę wokół domu i niemiecki szwargot. Była bez niczyjej pomocy, niepokoiła się aby nikt z domowników do domu wcześniej nie wrócił.

– Zawziętość Niemców była okrutna – opowiadała dalej matka – nasza chałupa i drewniany płot, a także obora z kamienia przestrelone są wiele razy na wylot. Za oborą jest stos łusek po nabojach.

W tym samym czasie inni Niemcy otoczyli dom Józefa Litwińskiego i brutalnie wyprowadzali jego mieszkańców za stodołę: Zofię Litwińską (córkę sąsiada), jej dziadka Jana Zielonkę i mieszkającą z nimi od niedawna kuzynkę Irenę Wójtowicz. Pod groźbą przygonili sąsiadującą z nimi rodzinę Jana Marka i na ich przerażonych oczach dokonali egzekucji. Niemcy nie reagowali na straszny i zatrważający płacz Zofii, pięknej młodej córki nieobecnego gospodarza. Wydali komendę, jeden z nich mierząc do dziewczyny nie wykonał rozkazu, niestety, zastąpił go stojący obok inny Niemiec.

Po egzekucji Niemcy zrabowali dość zamożny dom, powynosili niektóre meble oraz część bielizny. Podpalili budynek, a przypędzonych sąsiadów zmusili do znoszenia ciał i wrzucania ich w płonący ogień. Po leżące na polu zwłoki Stanisława i Józefa kazano jechać końmi.

Po południu Władek z Cześkiem i jego ojcem Janem Markiem poszedł oglądać pogorzeliśko. Leżały na nim słabo spalone ciała dobrze znanych mu pięciu osób – dwóch kobiet i trzech mężczyzn. Jeszcze kilka dni tliły się szczątki pomordowanych osób na zgliszczach domu. Unoszący się nad okolicą dym, długo przypominał o strasznej niemieckiej zbrodni. Nocą, szczątki zostały pochowane na wojciechowskim cmentarzu. Senior rodziny, Józef Litwiński, był w tym dniu w Wojciechowie, dzięki temu ocalał.

Przez długi czas w rodzinnym domu Władka panowała przygnębiająca atmosfera, dominował lęk o przeżycie każdego dnia. Po tym wstrząsie psychicznym, jako siedemnastolatek obiecał sobie, że wstąpi do ruchu oporu, aby chronić bliskich i niewinnych. Wspólnie z kolegą i dwiema koleżankami zgłosił się do Batalionów Chłopskich. Młodzi złożyli przysięgę w obronie honoru i ojczyzny. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że narażają własne życie, a także bezpieczeństwo rodziców i nauczycieli.

## ŁASKAWA PANI

**W**ielu uczniów szkoły było związanych z konspiracyjnym ruchem oporu. Tajna działalność była różnorodna: od wydawania tajnej prasy, kolportowania, aż po walkę zbrojną z okupantem w oddziałach partyzanckich. Drogi dorastającej młodzieży zaczęły być skomplikowane. Niebezpieczne sytuacje często ratowała oddana młodzieży dyrektorka szkoły dr Wanda Wierzbicka. Jesienią w 1943 roku na rozpowszechnioną wieść o zamierzonym werbunku uczniów do pracy w Rzeszy, natychmiast ogłosiła Kartoffelferie, czyli ferie ziemniaczane. Na kilka dni szkołę zamknięto, nikt nie ucierpiał.



*Dorastająca młodzież – często konspiracyjnie związana z walką o wolność*

Mimo wielkiego dla niej szacunku, języka niemieckiego, którego nauczała, nie lubili wszyscy. Świadoma przyczyn



cierpliwie, z zakłopotaniem wyjaśniała, że jest to piękny oraz szlachetny język Goethego i Schillera. Szkolna etykieta nakazywała witać starszą panią z należnym jej szacunkiem:

– Guten Tag gnädige Frau! – zawsze grzmiało na początku lekcji języka niemieckiego. Błogi uśmiech na jej twarzy kończył dobrą powitalną atmosferę i po tym rozpoczynała się nauka znieawidzonego języka i realizacja programu.

Aby złagodzić trudne przeżycia, Włodek zaczął dużo czytać i chłonać literaturę piękną. Niestety, szkoła nie posiadała dostatecznie wyposażonej biblioteki. Na wniosek młodzieży samorząd zainspirował powstanie spółdzielni pod nazwą „Czytelnik”, której celem było gromadzenie i wypożyczanie książek. Członkiem spółdzielni mógł być każdy, kto wniósł odpowiedni udział, czyli minimum jedną wartościową książkę. Uzupełniono w ten sposób istniejący księgozbiór o lektury, pozycje beletrystyczne i popularno – naukowe (o około 200 woluminów).

Włodek czytał z powagą i namaszczeniem wypożyczoną w szkolnej bibliotece powieść Stefana Żeromskiego *Ludzi bezdomnych*. Któregoś dnia, po lekcjach, poszedł długą aleją lipową, która przemieniła się w parku w aleję kasztanową na ponowne spotkanie z „pisarzem”. Stojący w centrum nałęczowskiego parku pomnik tak jak przed laty był pełen prostoty. Poszedł dalej śladami Żeromskiego, aby odkryć „album widoków Nałęczowa”. Niestety, okupacja niemiecka przerwała działalność muzeum, Chata stała opustoszała. Dotarł do stojącego w głębi mauzoleum Adama Żeromskiego, przedwcześnie zmarłego syna pisarza. – Jakie zakręty czekają mnie niebawem? Czy przeżyję? – rozmyślał w drodze powrotnej do domu.

Na przekór złym nastrojom chętnie uczestniczył w różnorodnych konkursach szkolnych, które w znakomity sposób wyrównywały jego braki z zakresu literatury pięknej.

Jako przewodniczący kółka polonistycznego w klasie czwartej organizował poranki artystyczne, a także głosił referaty przydzielane do opracowania przez opiekuna prof. Zbigniewa Wierzbickiego. Zmagał się z dramatem Stefana Żeromskiego *Turoń*, aby wystąpić i ocenić „Bunt chłopów pod wodzą Jakuba Szeli”. Żmudnie szukał źródeł do opracowania innego referatowego tematu „Szkola rosyjska w świetle literatury polskiej” czy „Religie starożytne”.

Powracał do domu ze szkoły znowu nocą, bo zajęć pozalekcyjnych przybywało. Mimo złej koniunktury gospodarczej (brak zapasów towarowych, gwałtowny wzrost cen), Spółdzielnia Uczniowska „Dzielność” rozwijała się pomyślnie. Zakupiono na własność pożyczone urządzenia sklepowe, wagę i przybory biurowe. Sprzyjała temu sumienna, energiczna i pełna inicjatywy praca Zarządu i Rady Nadzorczej. Funkcje gospodarza spółdzielni, jak i przewodniczącego Rady Nadzorczej pełnił przemienne z Józkiem Woźniakowskim, Witoldem Pajakiem, Henryką Polakowską, Danutą Winnicką.



*Władysław Poniatowski przewodniczy zebraniu  
Rady Nadzorczej Spółdzielni Uczniowskiej „Dzielność”*

Sporo czasu pochłaniała mu także funkcja zastępowego w Męskiej Drużynie Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego, której opiekunem był prof. Jerzy Machowski.

Kiedy przed Wigilią do przedstawienia tradycyjnych „Jasełek” przystąpiła cała szkoła, postanowił wraz z kolegami, że „Jasełka” w tym roku będą zaktualizowane i odbędą się w innej scenerii. Dzieciątko i Święta Rodzina znajdzie schronienie w polskim obozie żołnierskim. Młodzież wypożyczyła mundury i broń od stacjonującej niedaleko szkoły jednostki wojskowej, oczywiście po wcześniejszym uzgodnieniu z dyrektorką. Zarówno rosyjski komendant, jak i komendant polskiego posterunku Morgut, przyjęli uczniów życzliwie, odbezpieczyli karabiny, powyjmowali z nich naboje i wypożyczyli eksponaty ze śladami krwi. Widowisko jasełkowe odbyło się rano dla uczniów, po południu dla społeczeństwa.

Nie brakło Władkowi czasu na czynny udział w teatrze amatorskim i zespole tanecznym. W końcu stycznia 1944 roku wystawiono *Maraton* Kornela Ujejskiego. Przypominają po latach to wydarzenie w miejscowej prasie dwaj młodszy koledzy Władka: Wiesław Borowicz i Janusz Malicki. *Tekst poetycki, swoim tytułem sięgający historii starożytnej, posiadał ideową aktualność, wzywając do zwycięskiej, choć nierównej walki z najeźdźcą na podobieństwo zmagania Greków z Persami. Utwór nie dramatyczny wystawiono w konwencji teatru rapsodycznego w formie zintegrowanej recytacji partii solowych i chóru, bez dekoracji, jedynie z nielicznymi rekwizytami, sugerującymi czas i miejsce akcji. Spektakl przygotowano bardzo starannie siłami całego grona nauczycielskiego. Pierwszoplanową rolę Milcjadesa wykonywał niemalże profesjonalnie kolega Władek Poniatowski. Siła tekstu w jego interpretacji była fascynująca, a wyzwolona i nieskrępowana wyobraźnia słuchaczy i widzów wzmogła uczucia patriotyczne.*

## ŁAPANKA

**W** sobotę, dziewiętnastego maja 1945 roku, dzień przed Zielonymi Świątami, wczesnym rankiem, Władek jak zwykle wybierał się do swojej szkoły w Nałęczowie. Jeszcze miesiąc nauki w przedmaturalnej klasie napawał go nadzieją, że obowiązkowe wędrowki niebawem zostaną przerwane przez długie wakacje. W dodatku w domu pachniało już drożdżowym ciastem, świeżo umytą drewnianą podłogą w izbie i tatarakiem upchniętym przez ojca za święte obrazy, które babka Barbara przywiozła z Częstochowy.



*W gronie koleżanek i kolegów na miesiąc przed wakacjami*

Cała rodzina zwykle wstawała wczesnym rankiem. Tym razem także o świcie, w ciepły majowy poranek, ojciec kręcił się po obejściu, a matka rozpałała pod kominem, szykując tradycyjną śniadaniową strawę. Marysia jeszcze słodko spała.

W pewnym momencie za lasem wojciechowskim od strony Nałęczowa zawyła najpierw tak jakby rakietą. Po chwili słychać było strzelaninę, wybuchy granatów i coraz głośniejszą kanonadę z karabinów ręcznych i maszynowych. Po niedługim czasie (około pół godziny) wszystko ucichło.

W tej sytuacji Władek postanowił zostać w domu, miał złe przeczucia. Czyżby nałęczowska milicja, a szczególnie komendant posterunku Morgut, znowu dawał się we znaki okolicznemu podziemi i miejscowemu społeczeństwu? – zbierał myśli.

Około godziny dziesiątej odgłosy strzałów z karabinów ręcznych i maszynowych ponownie zajazgotały, ale tak jakby bliżej. Z niepokojem wraz z rodzicami podszedł do północnego okna izby. Z tego miejsca widać było dokładnie rozległe łąki i płynącą środkiem rzekę Bystrą. Na przeciwległym wznie-sieniu, za rozległą równiną, na tle panoramy lasu wojciechowskiego stały chaty i zagrody sąsiadów ze Starego Gaju.

Strzały stawały się coraz głośniejsze. Z daleka, na zielonych polach żyta widać było uciekających mężczyzn od strony Charza B, czyli od lasu. Nagle echo poniosło nad łąkami przerażający lament Stanisławy Józwickiej, sąsiadki mieszkającej nieopodal, ale po drugiej strony rzeki Bystrej. Płacz długo nie ustawał i całkowicie sparaliżował zdrowy rozsądek rodziców oraz ich bliskich sąsiadów. Nikt nie uciekał, jedynie skrył się Stanisław Baran mieszkający obok.

Ojciec Władka, niezorientowany w sytuacji, wkładał kamasze, aby pospieszyć na ratunek zwodzącej i płaczącej głośno Stanisławie. Nie zdążył. Dwaj rosyjscy żołnierze stanęli z bronią w drzwiach. Brutalnie wyrzucili ojca domu, a za nim Władka. Pchnęli ich pod drewniany płot, przy którym rzędem, z rękami założonymi na tył głowy stali już sąsiedzi: Władysław Twardowski i Eugeniusz Józwicki (mąż Stanisławy) ze Starego Gaju oraz mieszkający obok Paweł Kocot, brat matki Władka. Mierząc bronią, ustawili także ich

pod drewnianym płotem. Zrozpaczeni rodzice zaczęli głośno prosić o darowanie życia.

Młody Rosjanin był gotów do strzału, drugi starszy, zaczął jednak kolejno chwytać każdego z osobna za kark i wypychać za furtkę.

Władek zaufał swojej intuicji. Strzelaninę rankiem słychać było od Nałęczowa – myślał. Rosjanie szli od Charza B – tam musi być dowództwo! Zdążył błyskawicznie szepnąć do matki:

– Mamo, trzeba iść do dyrektorki po pomoc. Niech mama uważa na siebie!

Pchnięty brutalnie przez furtkę, poszedł pod eskortą razem z ojcem i sąsiadami, przez zielone pola w kierunku wschodnim, do następnej zagrody.

Na ich widok Jan Marek wyszedł z chaty z podniesionymi rękami, a zaraz za nim, ze stajni, wyszedł jego syn Czesiek. Gospodarza, mimo gestu poddania, w grubiański sposób dołączono do przyprowadzonych, a młodemu wydano polecenie zaprzęgnięcia dwóch koni do wozu.

Po przeciwnej stronie, za rzeką, na krańcach doliny Bystrej była wydeptana ścieżka, którą miejscowa ludność przemieszczała się najczęściej na targ do Nałęczowa. Tuż za nią, na pagórku, zaczynały się zarośla, dalej wiejskie zagrody, a za nimi las.

Oczekując na konie i furmankę Rosjanie penetrowali teren i z oddali zauważyli idącego tą wąską dróżką człowieka.

Starszy rosyjski żołnierz zaczął wołać mężczyznę i gestem ręki przywoływać do siebie. Ponieważ chłop nie reagował i szedł dalej, młodszy Rosjanin wymierzył a następnie oddał w jego kierunku kilka strzałów.

Nie trafił, mężczyzna skrył się w krzaki, a później zniknął za drzewami wojciechowskiego lasu.

Rosjanin głośno i brzydko zaklął.

## OSTATNIA MODLITWA

Czesiek wrzucił snopek słomy na spód furmanki i podjechał do bramy wozem zaprzężonym na dwa konie, tak jak sobie życzyli oprawcy. Rozsierdzeni Rosjanie załadowali na wóz kolejno pięciu gospodarzy w sile wieku i osiemnastoletniego Władka.

Zmusili ich do klęczenia na wozie z rękami złożonymi na tył głowy. Jeden z nich usiadł z przodu, a drugi na końcu z bronią wymierzoną w zakładników.

Drżącymi rękami Czesiek wziął lejce i ruszył w kierunku Starego Gaju tak, jak mu kazali.

Tuż za pagórkami, na swoim polu, owinięty płachtą sąsiad – Wąchała, siał zboże. Rosjanie kazali mu siadać na wóz, ale on przejęty pracą nie reagował na ich rozkazy, tylko śmiało sypał ziarno w zaoraną ziemię. Żądny krwi, młodszy żołnierz wziął go na cel. Nie bacząc na własne zagrożenie mężczyźni na wozie chórem, prawie jednocześnie zawołali:

– To durak !

Na to zareagował ten starszy, ręką zniżając karabin swojego kolegi do ziemi. Wystraszone konie nagłym, bliskim strzałem w ziemię spłoszyły się i zaczęły galopem pędzić do „gościńca”. Młody woźnica ledwie je utrzymał.

W Gaju Starym konie zwolniły i Czesiek prowadził je dalej spokojnie.

Rosjanie kazali zatrzymać konie koło domu Kubisia. Jeden z nich zszedł z wozu i wszedł do domu. Za chwilę wyprowadził nieznanego mężczyznę. Poleciał mu wsiąść na wóz, uklęknąć i tak samo jak siedzącym na wozie, złożone ręce trzymać z tyłu głowy.

Wóz ruszył teraz z ośmioma zakładnikami w kierunku Nałęczowa. Po przejechaniu około dwóch kilometrów, Rosjanie zatrzymali wóz na polu przy niewielkim lesie.

Jeden z nich chwycił za kołnierz ostatniego zatrzymanego i poprowadził go przed sobą do lasu. Po pięciu minutach

wystrzelił z karabinu dwa razy i wrócił sam. Postraszył pozostałych na wozie mężczyzn granatami, a sam wyciągnął butelkę wódki.

Skulonych ze strachu mężczyzn ogarnęło przekonanie, że teraz kolejno będą ich ściągać z wozu i zabijać tak jak ostatniego. Zaczęli się głośno modlić: *Ojczy nasz... Zdrowaś Maryjo... Pod Twoją obronę...*

Rosjanie w tym czasie pili. Nikogo więcej jednak nie ściągali z wozu, tylko co jakiś czas ponownie straszili granatami. Wyglądało na to, jakby sami zaczęli się czegoś bać. Stanęli, ale nie pozwolili się nikomu ruszyć.

Po piętnastu minutach, odurzeni alkoholem, kazali jechać dalej w kierunku Nałęczowa.

Czesiek ruszył, a wszyscy w dalszym ciągu modlili się, skuleni, wpatrzeni we własne obolałe kolana.

Kątem oka spoglądali na rozległe pola porośnięte zieloną oziminą. Zauważyli wygniecenia i ścieżki, świadczące o tym, że przed chwilą musiała się tu rozegrać tragedia.

Naraz zrobiło się cicho, wszyscy zapomnieli o modlitwie, oniemiała z przerażenia zaczęli się rozglądać po charzowskich polach. Przy wąskiej drodze, w wygniecionym zielonym życie, co pewien czas mijali zwłoki mężczyzn.

Nieopodal leżała martwa, śliczna, szczupła, młoda dziewczyna, a obok niej torba ze znakiem Czerwonego Krzyża, z której rozsypały się lekarstwa. Miała na sobie zieloną wojskową bluzę.

Blisko niej leżał jasnowłose chłopiec, któremu być może udzielała pierwszej, a zarazem ostatniej pomocy.

Na zakręcie minęli rozbity chłopski wóz, a tuż obok rannego, dogorywającego konia.



## LAS ZAKŁADOWY

**P**o krótkim czasie usłyszeli w oddali warkot silników samochodowych. Zbliźali się w tym kierunku. Czesiek z trudem utrzymywał konie, gdy stromo zjeżdżali w leśny osłonięty lasem i wzniesieniami wąwóz.

Na polanie, wśród licznej grupy rosyjskich żołnierzy, rzucono wszystkich mężczyzn z wozu. Czeška, jako furmana zostawiono na środku placu przy koniach.

Pozostałych poprowadzono pod skarpe. Idąc Władek zauważył wśród żołnierzy rosyjskich komendanta Morguta. Z nadzieją, że pamięta go z jasełek, zwrócił się z prośbą o pomoc, przypominając przy tym, że jest uczniem Prywatnej Szkoły Handlowej dr Wandy Wierzbickiej. Na to komendant posterunku w afekcie krzyknął do Rosjan:

– Rozstrzelać ich, to oni przechowywali bandytów!

Władek zawiedziony i zszokowany, razem ze współtowarzyszami niedoli z rękami założonymi na tył głowy, podszedł pod skarpe.

– Boże, koniec naszego życia – rzekł ojciec Władka.

W tym momencie uczeń z daleka dojrzał swoją dyrektorkę rozmawiającą z rosyjskim dowódcą. Po chwili Rosjanin podszedł do żołnierzy, aby zapytać, gdzie była obława.

– Pobrali my ich z chat! – odpowiedział głośno żołnierz.

Po tym wyznaniu, bez konsultacji z Morgutem, sam wydał polecenie powrotu na wóz. Ręką pokazał woźnicy kierunek odjazdu i gromko krzyknął:

– Ujeżdżajcie bystro damoj!

Coś mówił, ale nikt już go nie słuchał, bo konie jakby zrozumiały gest odwrotu. Błyskawicznie z Czeškiem na wozie podjechały pod skarpe i gdy wszyscy skoczyli na fure, a woźnica chwycił lejce, ruszyły galopem pod wysoką górę.

Gnały tak bez przystanku tą samą trasą aż do własnej zagrody, czyli na podwórko do „Rocha” i jego syna Czeška.

Teraz mężczyźni kolejno wracali do swoich domów po drugie, nowe życie. Szli na przełaj przez zielone pola, zmęczeni i zasłuchani w trwający dalej rozpaczliwy, głośny płacz Stanisławy opłakującej swojego Eugeniusza.

Nikt tego nie komentował, w milczeniu Władek z ojcem skręcili do swojej chaty. Na powitanie zaszczekał radośnie pies, ale nikt ich więcej nie witał. Matka jeszcze nie wróciła z Nałęczowa. Ojciec wspólnie z synem uklęknął przed wiszącym na ścianie obrazem Świętej Rodziny, głośno się modlił i dziękował Panu Bogu za uratowane życie.

Przy skromnej wieczerzy, kiedy opadły emocje, matka opowiedziała, jak udało jej się spełnić prośbę syna. Tak jak stała, w kuchennym fartuchu wybiegła z domu, aby szukać ratunku u dyrektorki szkoły – dr Wandy Wierzbickiej. Zgodnie z prośbą Władka, uważała na siebie i była czujna. Gnała ścieżką przez łąki, dalej dębiną, omijała głośne rozmowy i odgłosy strzelaniny.

Biegła na skróty. Przeszła przez kładkę na rzece Bystrej, należało minąć jeszcze tylko sąsiadów Jędrejów i już będzie las wojciechowski, a tam mimo strzelaniny zawsze bezpiecznie.

Tymczasem u mieszkających w pobliżu, przed chatą dramat, rozpacz kobiety i dzieci sięga zenitu. Zaszlochana córka, pochylona nad zamordowanym, jeszcze ciepłym ojcem wykrzyczała:

– To Rosjanie! Wzięli tatę za partyzanta, bo skrył się do piwnicy! Było ich dwóch!

– Strzelał młody – dodała zawodząc żona zabitego.

Matka Władka zrobiła znak krzyża i z ogromną nadzieją, że pomoże bliskim, pobiegła dalej, przez las wojciechowski, nałęczowskie łąki, obok Jabłuszka aż do Zacisza, a stamtąd do Ludowca.

## SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

**D**yrektorka, dr Wanda Wierzbicka, świetna germanistka, biegle władająca także językiem rosyjskim i francuskim, kochała swój zawód i znała doskonale uczniów własnej szkoły. Wiedziała, że Władka nie było dziś w szkole. Ujrawszy w drzwiach klasy, w której miała lekcje, zdyszana i zapłakaną jego matkę wyczuła ogrom zagrożenia. Zarzuciła na ramiona szarą chustę, dołączyła swoją grupę do innego nauczyciela i obie z matką wyszły „odbijać” Władka.



*Grupa uczniów z różnych klas na szkoleniu wojskowym*

Posterunek milicji w Nałęczowie mieścił się nieopodal szkoły, na al. Lipowej w willi „Aniela” i pani dyrektor była dobrze zorientowana w sytuacji.

– Komendant Morgut i niektórzy milicjanci potrafią być bezwzględni, ale wypuszczą Władka! – rzekła do matki.

W drodze informowała, że o świcie partyzanci zaatakowali posterunek, słycać było najpierw sygnał rakiety, następnie pepesze, granaty, strzelano z karabinów. Po trzydziestu minutach partyzanci się wycofali.

Zdziwiło panią dyrektor to, że obok posterunku stoi kilka samochodów z Rosjanami. Powiało grozą, zdobyła jednak potrzebne informacje, że ucznia należy szukać w Lesie Zakładowym. Obie wypadły z posesji wprost na al. Lipową, potem ul. 1- go Maja, mostkiem na Harcerską i w ostatniej chwili dotarły do wąwozu. W głębi Lasu Zakładowego, w dolinie osłoniętej lasem i wzniesieniami szykowano się do likwidacji nowej grupy „partyzantów”.

– Ja zostałam, na polecenie dyrektorki, na skraju polany, a ona śmiało poszła do rosyjskiego dowódcy. Po waszym odjeździe zachowała do końca pewność siebie – opowiadała matka. Jak konie ruszyły, skłoniła się i z poczuciem godności oraz

dobrze spełnionego obowiązku wróciła do szkoły. W powrotnej drodze do domu napotkali ludzie mówili mi, że rankiem partyzanci dokonali także akcji na dworcach: w Sadurkach i w Nałęczowie. Po ataku na posterunek w Nałęczowie komendant Morgut wraz z wojskiem rosyjskim udał się w pogoń za partyzantami, którzy zmierzali w kierunku Łubek, przez Charz B i Gaj Stary. Szukali partyzantów i w ten sposób zgarnęli was.



*Władek z rodzicami, 1949*

## WAGARY

**P**o Zielonych Świątach Władek znaną sobie trasą poszedł do szkoły. Na lekcji, pani dyrektorka dr Wanda Wierzbicka rozliczała uczniów z frekwencji w szkole za poprzedni tydzień. Poprosiła również Władka o usprawiedliwienie, czyli podanie przyczyn swojej nieobecności. Przejęty, opowiedział przy całej klasie bardzo dokładnie swoje zdarzenie, a opisując brutalność napastników rzucił mimochodem, zasłyszonym ruskim przekleństwem: *Job Twoju Mać*. Pani dyrektor, pewna, że nie rozumie tego, co powtarzał za Rosjanami, uśmiechnęła się i rzekła:

– Miałeś szczęście Władek, udały ci się wagary!

Za rok, w czerwcu 1946 roku, zdał maturę i we wrześniu wyjechał na studia do Poznania.



*Lekcja higieny w nałęczowskim liceum*

Po latach dowiedział się, że dziewiętnastego maja 1945 roku na polach obsianym zbożem zginęło siedemnaścioro

młodych ludzi. Ciała ich (szesnastu) pozbiali z pól wyznaczeni przez sołtysa Charza A. rolnicy. Przewieźli je na cmentarz późnym popołudniem, w sobotę przed Zielonymi Świątami. Na grobie, staraniem miejscowego koła ZBOWID wzniesiono pomnik. Napis na nagrobku brzmi: *Żołnierzom Armii Krajowej poległym 19 maja 1945 r. w obronie niepodległości Polski.*

W 1995 r., w pięćdziesiątą rocznicę tych wydarzeń, staraniem członków Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych oraz wojewódzkich władz tego Związku, w Lesie Zakładowym, na polanie, wzniesiono pomnik *W hołdzie żołnierzom Armii Krajowej z oddziału „Szatana” poległym w tym miejscu w dniu 19 V 1945 r. w walce z NKWD o wolną Polskę.* Napis na pomniku nie jest ścisły, bowiem wąwozem tym partyzanci szli na akcję i z niej wracali. W tym miejscu zgarnięci ze swoich chat mężczyźni cudem uniknęli śmierci, ale nikt nie poległ.



*Władysław Poniatowski przy pomniku poległych partyzantów*

## SPIS ILUSTRACJI

1. Pomnik męczeństwa Polaków w Szczuczku. W głębi stoją od lewej Józef Czachor, Władysław Poniatoński, Janina Czachor, Andrzej Żołądkowski i Anna Poniatońska, 2007. Fot. Teresa Poniatońska – s. 7
2. Władysław Poniatoński z córką Teresą przed drzwiami do kaplicy w Szczuczku 1 września 2007. Fot. Anna Poniatońska – s. 7
3. Czesław Marek i Władysław Poniatoński około 1940 roku. Fot. Feliks Soczko – s. 10
4. Wyciąg z Książki ludności stałej wsi Maszki, 1932 – s. 11
5. Franciszek Poniatoński, III pułk piechoty Legionów, 12 kompania, 1919 – s. 13
6. Zagroda Józefy i Franciszka Poniatońskich, 1944 – s. 24
7. Władysław Poniatoński, 1941. Fot. Feliks Soczko – s. 27
8. Pomnik Stefana Żeromskiego, 1971 – s. 30
9. Marianna Poniatońska, 1945 – s. 31
10. Uczniowie klasy siódmej Szkoły Powszechnej w Wojciechowie z kierownikiem szkoły Feliksem Kowalskim (w drugim rzędzie drugi od lewej) i księdzem Władysławem Szyszko (w drugim rzędzie trzeci od lewej). W ostatnim rzędzie w środku Władysław Poniatoński, 1941 – s. 34
11. Niemiecko–polskie świadectwo ukończenia Szkoły Powszechnej, 1941 – s. 36

12. Nauczyciele i uczniowie klasy drugiej Szkoły Handlowej dr Wandy Wierzbickiej w Nałęczowie, 1942. Siedzą od lewej: Janusz Wierzbicki, H. Borysewicz, dyrektor dr Wanda Wierzbicka, H. Wiercińska, sędzia Michał Tarka, Zbigniew Wierzbicki, sekretarz szkoły. W przedostatnim rzędzie w środku Władysław Poniatoński – s. 38
13. Siedlisko na wzgórzu Józefy i Franciszka Poniatońskich, 2008. Fot. Teresa Poniatońska – s. 40
14. Stoją od lewej: Tadeusz Mańko, Zbigniew Głos, Władysław Poniatoński, Marian Majcher, Józef Woźniakowski, Byliński. Siedzą od lewej: Błaszczuk, Ryszard Święcki, Stanisław Zdun, 1943 – s. 42
15. Od lewej stoją: Danuta Winnicka, Marian Hora, Jadwiga Grzegorzczak i Władysław Poniatoński, 1943 – s. 43
16. Klasa druga Szkoły Handlowej, 1942 – s. 48
17. Zebranie Rady Nadzorczej Spółdzielni Uczniowskiej „Dzielność”. Stoją od prawej: Prezes Rady Nadzorczej Władysław Poniatoński, opiekun spółdzielni prof. Janusz Wierzbicki, Zenobia Knakiewicz – s. 50
18. Zarząd Spółdzielni Uczniów. Od lewej: Peła Mazur, Władysław Poniatoński, Halina Wodniak, M. Głos, H. Kamińska. Klęczy Ryszard Święcki – s. 52
19. Grupa uczniów z różnych klas na szkoleniu wojskowym, czerwiec 1945. Szósty od lewej stoi Władysław Poniatoński – s. 59
20. Od lewej stoją: Władysław Poniatoński, Franciszek Poniatoński. W środku siedzi Józefa Poniatońska, 1949 – s. 60



21. Klasa przedmaturalna: ostatni rząd od lewej siedzą Marian Litwiński, Bogdan Chabros, Zbigniew Podeszewski. Stoją: Tadeusz Piłat, Józef Woźniakowski, Witold Pająk, Stanisław Zdun, Marian Hora, Stanisław Śliwa. Siedzą od lewej: Danuta Winnicka, Henryka Polkowska, Stefania Świdarska, Władysław Poniatowski, Władysława Sadowska, Maria Chojdakówna, Stanisława Koldaszkówna, Maria Chachajówna, Regina Ptasieńska, prof. Zbigniew Wierzbicki, prof. H. Wiercińska, 16 czerwiec 1945 – s. 61
  
22. Władysław Poniatowski przed pomnikiem *W hołdzie żołnierzom Armii Krajowej z oddziału „Szatana” poległym w tym miejscu w dniu 19 V 1945 r. w walce z NKWD o wolną Polskę* w Lesie Zakładowym w Naęczowie, 2010. Fot. Teresa Poniatowska – s. 62

# SPIS TREŚCI

1.	SPOTKANIE Z HISTORIĄ.....	5
2.	DWAJ PRZYJACIELE.....	8
3.	KORZENIE.....	11
4.	SĄSIEDZI.....	14
5.	KASZKIET Z JARMARKU.....	15
6.	UCIECZKA.....	19
7.	DZIELNA CIOTKA BRONKA.....	20
8.	ŚWIADKOWIE.....	21
9.	BIAŁA CHATA.....	24
10.	LEPSZY ŚWIAT.....	28
11.	WOJCIECHOWSKIE RÓWNINY.....	32
12.	PIERWSZY EGZAMIN.....	37
13.	DROGA PRZEZ MĘKĘ.....	39
14.	PIERWSZA GWIAZDKA.....	41
15.	CIOTKA ROZALIA.....	44
16.	MORD SĄSIADÓW.....	46
17.	ŁASKAWA PANI.....	48
18.	ŁAPANKA.....	52
19.	OSTATNIA MODLITWA.....	55
20.	LAS ZAKŁADOWY.....	57
21.	SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU.....	59
22.	WAGARY.....	61
23.	SPIS ILUSTRACJI.....	63